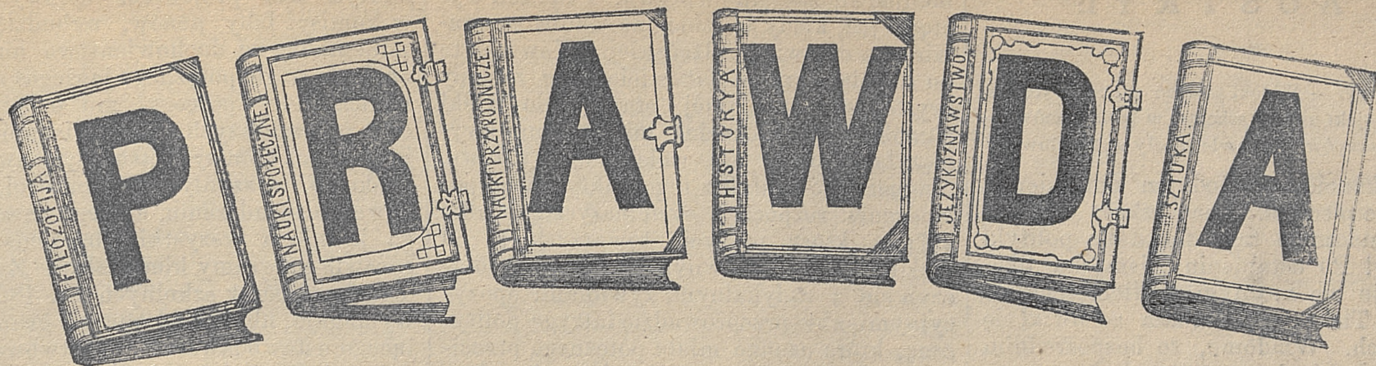
Nr. 13. Warszawa, dnia 29 (17) Marca 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

Do dzisiejszego numeru dołączamy arkusze dodatku kwartalnego, kończące tom pierwszy *Historyi rewolucyi francuskiej* Migneta.

POLITYKA.

NA TLE WSPOMNIEŃ.

Wątek dziejów rozwija się czasem tak, jak gdyby je snuła ręka artysty z celem dowiedzenia pewnych założeń i osiągnięcia pewnych efektów. W ten sposób właśnie ułożył on się, zamykając okres rządów ks. Bismarka. Bo cofnijmy się pamięcią w niedaleką przeszłość o lat 42.

W r. 1848 siedział na tronie pruskim Fryderyk Wilhelm IV, mający przy swym boku brata, zwanego Księciem Pruskim, późniejszego króla i cesarza Wilhelma I. Pożar rewolucyi, szerzącej się we Francyi, rozrzucił iskry po całej Europie i zatlił również materyały wybuchowe w Prusach. Od 7 marca Berlin wrzał buntem. Oprócz żywiołów miejscowych spłynęły do niego pierwiastki rewolucyjne cudzoziemcze a między nimi w znacznej ilości znaleźli się także polacy. Łagodzące półśrodki i drobne ustępstwa ze strony rządu nie mogły ugasić ognia, rozszerzanego zapomocą zgromadzeń ludowych. Nareszcie 18 marca — podznaczmy sobie tę datę—król wydał dekret, w którym przyśpieszył zwołanie sejmu i przyrzekł, iż zaproponuje uczestnikom Rzeszy przemianę Niemiec ze związku państw (Staatenbund) na państwo związkowe (Bundestaat), utworzenie parlamentu niemieckiego i wprowadzenie rządów konstytucyjnych. Dekret ten wywołał doskonałe wrażenie na ludność, która zebrała się przed zamkiem, ażeby podziękować monarsze. Tymczasem z wojska, otaczającego pałac, padły dwa strzały, które dały hasło do ponownego wybuchu. Daremnie objaśniano, że były one przypadkowe, daremnie wywieszono białą chorągiew z napisem: *nieporozumienie*, płomień rewolucyi ogarnął miasto. Rozpędzone przez wojsko tłumy rozpierzchły się z przed zamku, ale tem energiczniej zaczęły stawiać barykady. Przyszło do starć, w których poległo sto kilkadziesiąt osób. Nazajutrz król wydał odezwę „do kochanych berlińczyków," cofnął z ulic wojsko, powołał nowych ludzi do ministeryum, a nadewszystko kazał natychmiast wyjechać powszechnie nienawidzonemu i za sprawcę mordów uważanemu bratu, który uciekł tajemnie. Dnia 20 marca Berlin dowiedział się, że *Kartätschenprinz* (późniejszy ukochany Wilhelm I) zmyka do Londynu a ludność przyjęła tę nowinę z nadzwyczajną radością.

Pomijamy dalszy ciąg tych zdarzeń, które czytelnik znajdzie opowiedziane w naszej *Historyi XIX w.*; tu tylko chcemy zwrócić uwagę na dziwny zbieg dat i wypadków dwu głównych bohaterów w historyi Prus z ostatniego pół wieku. 18 marca łamie się dotychczasowy ustrój rządu, którego złym duchem był Książę Pruski — i w tymże dniu łamie się władza jego przyjaciela Bismarka; 20 marca Berlin dowiaduje się o wyjeździe nienawidzonego Księcia i tego dnia dowiaduje się o dymisyi strasznego kanclerza. Po obu zaś tych przełomach, rozdzielonych 42 laty, błyska Niemcom świt nowej epoki. Kiedy Wilhelm, ścigany złośliwą piosenką: „Komme doch, komme doch, Prinz von Preussen," uciekał ze stolicy, groził jej zapewne: „Wir werden uns noch wiedersehen," Bismark, ustępując, miał powiedzieć również: „Le roi me reverra." Słowa pierwszego sprawdziły się, a drugiego?

Niestety, kanclerze są mianowani, a królowie się rodzą. Jakiekolwiek byłyby zasługi pierwszych, naród pozostanie przy ostatnich. Mając do wyboru między O. Bismarkiem i Wilhelmem I — niemcy wahać się nie będą, bo pierwszy jest ruchomością, a drugi nieruchomością państwa. Jeżeli więc ów Bismark zamierza w swym gniewie pójść po za zwykłe dąsy usuniętego wezyra, to może się doczekać jeszcze przypomnienia mu własnych jego słów, które kiedyś wyrzekł w parlamencie: „jestem tylko parobkiem (Knecht) mojego pana." Mówił on wprawdzie o Wilhelmie I, ale niemniej jego panem jest Wilhelm II. Wobec monarchicznie usposobionych Niemiec, wobec niewzruszonych podstaw dynastyi Hohenzollernów, wobec niemożności wstrząśnienia ich tronem, fukające frazesy dymisyonowanego kanclerza robią wrażenie grubijaństw i pogróżek sługi, uzuchwalonego zaufaniem, a zbuntowanego niełaską. Bismark wzrósł w oczach współrodaków do nadludzkiej wielkości, olśnił ich, zhypnotyzował, natchnął ku sobie czcią bałwochwalczą, ale tem wszystkiem nie przeważy na swą stronę szali w walce z cesarzem. A chociażby ten cesarz chybił we wszystkich swoich planach i popełnił szereg najcięższych błędów, dopóki nie zechce, nie będzie musiał przeprosić i przywołać zadąsanego sługi. Na tych omyłkach i niepowodzeniach mogą wyrosnąć najrozmaitsi ludzie, a Bismark bez woli monarchy na nich się nie wzniesie. Wreszcie do pokonania przeciwnika ukoronowanego zbraknie mu czasu. Zgrzybiały starzec już nie może czekać; nie ma on, jak jego uciekający ongi z Berlina przyjaciel, a późniejszy pan, lat 50, lecz 75; tę więc resztę życia, która mu pozostaje, będzie musiał spędzić na przeżuwaniu bezsilnego gniewu i na znoszeniu strasznej, przez Nemezys wyznaczonej kary — oglądaniu przed śmiercią widoku gruzów ze swojej budowy. Żył z dzikim uśmiechem, ale umrze z gorzkim smutkiem.

Z AUSTRYI.

Ustąpienie Tiszy. — Widoki nowego gabinetu węgierskiego. — Projekt ustawy szkolnej w Izbie panów. — Manifest biskupów w sprawie szkoły wyznaniowej.

Dwóch kanclerzy w jednym dniu niemal złożyło swe pieczęci. Lecz jakżeż odmiennem jest znaczenie tego faktu dla polityki ich krajów! Po ustąpieniu Bismarka liberalizm staje się możnym w Niemczech, po ustąpieniu Tiszy — liberalizm zachwiał się w Węgrzech. Wiadomo, że bezpośrednim powodem dymisyi ostatniego była sprawa ustawy o obywatelstwie. Istnieje przepis, że skoro węgier, żyjąc lat dziesięć na obczyznie, nie oświadczy wobec konsulatu, iż pragnie zachować obywatelstwo węgierskie, natenczas je traci. W zeszłym roku skrajna lewica, niewyczerpana w pomysłach, mogących Tiszy przysporzyć kłopotów, poruszyła tę sprawę, żądając, aby Kossuthowi przyznano prawo powrotu do kraju. Tisza znalazł się wówczas bardzo zręcznie, oświadczając, że Kossuthowi, jako obywatelowi honorowemu kilku miast, prawo to przysługuje. Wtedy zażądano reformy ustawy, a minister stanął między młotem a kowadłem. Nie przychylając się do żądania kossuthowców, naraziłby swą popularność i obudziłby mniemanie, iż działa z osobistej niechęci; przeprowadzić zaś u rządu reformę, której wymagano wyłącznie dla bohatera rewolucyi, było rzeczą prawie niemożebną. Tisza zdecydował się wytrwać do ostatniej chwili na stanowisku i przyrzekł, że będzie się starał o zniesienie krępującego przepisu. Na radzie ministrów pod przewodnictwem cesarza nie udało mu się przekonać kolegów o słuszności tej reformy. Musiał więc ustąpić.

A jednak myliłby się, ktoby sądził, że istotnie sprawa ta strąciła go z krzesła prezydyalnego. Byłby on niezawodnie znalazł sposób wyjścia, gdyby był pragnął zatrzymać jeszcze władzę. Szukał tylko powodu, aby wycofać się z honorem. Obaliła go potęga, która nie wystąpiła jeszcze z jawnością całą, a która jednak stała się już przemożną. Tisza musiał ustąpić, gdyż parlamentaryzm węgierski stracił siłę i znaczenie. Wypadki, które w latach ostatnich następowały po sobie, pozornie bez związku, z jednego pochodziły źródła: arystokracya klerykalna, odepchnięta od władzy przez parlamentaryzm liberalny, z całą energią dobijać się zaczęła wpływu. Prąd ten wystąpił już, kiedy w Izbie magnatów rozprawiano o ustawie małżeńskiej. Wówczas to po raz pierwszy od lat wielu całe zastępy arystokracyi feudalnej stanęły do walki z gabinetem, a, chociaż ministeryum zwyciężyło, projekt nie wcielił się w ustawę. Magnaci skorzystali z tego faktycznego powodzenia: rozpoczęli systematyczną walkę z Tiszą, który w życiu towarzyskiem od nich się usunął. Dawnym zwyczajem połączyli się z radykalnymi żywiołami opozycyjnymi, aby przeprowadzić intrygę polityczną, która usunąć miała potężnego przeciwnika. Hrabia Apponyi został przyjacielem Iranyiego, kasyno szlacheckie weszło w sojusz z tłumem ulicznym, a opozycya przemieniła się w szereg napaści. Obrażano i hańbiono Tiszę codzień, co godzinę niemal, kilkakrotnie zagrażano jego życiu. Była to walka długa, gorąca. Wreszcie i Tisza stracił równowagę. Popełnił on wiele błędów. Pragnąc rozbroić przeciwników, ozdobił gabinet swój trzema koronami hrabiowskiemi. Zawiódł się. Wpływ szlachty feudalnej zaczął się rozwielmożniać w własnym jego gabinecie i pozbawił go przyjaźni dawnych towarzyszów. Osamotniony musiał ustąpić.

Dzielny mąż stanu, któremu Węgry zawdzięczają konsekwentne przeprowadzenie dualizmu, ocalenie przed upadkiem finansowym, pokój długoletni i dobrobyt za nim idący, wreszcie poważne stanowisko w polityce europejskiej, zeszedł z widowni, chociaż na zewnątrz polityka, którą reprezentował, nie upada, nawet się nie zmienia. Hr. Szapary, następca jego, w programie swym zapowiedział, iż trzymać się będzie tych samych punktów wytycznych: będzie przestrzegał liberalizmu i dążył do zachowania pokoju. Lecz trudno łudzić się. Właściwym zwycięzcą jest hr. Apponyi i maluczko a sięgnie on po nagrodę zwycięztwa. Hr. Szapary nie zabezpieczy Węgrom pokoju wewnętrznego. Skoro istotnie wiernym pozostanie programowi i polityce Tiszy, ulegnie jego losowi: opozycya prowadzić będzie dalej system teroryzmu. Jeżeli zaś on z nią się pogodzi, wówczas zdradzony liberalizm stanie do walki rozpaczliwej z klerykalną szlachtą, za wcześnie może tryumfującą.

Sądząc z objawów zewnętrznych, stronnictwo klerykalno-reakcyjne w Austryi oczekuje zwycięztw stanowczych w przyszłości najbliższej. Obrót, jaki wzięła dyskusya nad projektem ustawy szkolnej w komisyi Izby panów, wzbudziłby mógł mniemanie, że duchowieństwo austryackie znalazło nagle potężnego jakiegoś sprzymierzeńca, który poręczył mu osiągnięcie życzeń najśmielszych. Trzej biskupi, zasiadający w tej komisyi, zaznaczyli swe stanowisko co do szkoły wyznaniowej w urzędowem oświadczeniu, którego treść prześciga jasnością wszystkie dawniejsze w tej sprawie programy klerykałów. Żądają oni usunięcia ustaw szkolnych z r. 1868 i 1869, wymagają, aby urząd opuścił grunt istniejącego ustawodawstwa państwowego, podając się kościelnemu. Program ich sięga dalej, aniżeli zamiary Lichtensteina. Mija on się przedewszystkiem z przepisem zasadniczej ustawy, że każda szkoła publiczna przystępną być ma dla młodzieży wszystkich wyznań, a ustanawia regułę, że do szkół katolickich uczęszczać mogą tylko dzieci katolickie. Mija się z drugą zasadniczą ustawą, według której sprawowanie urzędów państwowych niezawisłem jest od wyznania: żąda bowiem, aby wszyscy nauczyciele szkół tych byli członkami kościoła katolickiego. Co więcej, kwalifikacya państwowa niema być nadal dostateczną do objęcia tego urzędu: kandydaci muszą też wykazać kwalifikacyę kanoniczną, a ponieważ tej udziela biskup, zatem bez jego aprobaty nauczyciel przyjętym być nie może. Posiadać ją będą — według programu biskupów — ci tylko nauczyciele, którzy odbyli studya w katolickiem seminaryum nauczycielskiem.

I reforma nauczania jest równie jasno określoną. Książę Lichtenstein żądał dla kościoła tylko jakiegoś nieoznaczonego prawa „współnadzoru.“ Manifest biskupów zaś oświadcza wyraźnie, że należy rozszerzyć wykład religii, a cały plan nauki i środki pedagogiczne zmienić o tyle, aby nic dzieci katolickich razić nie mogło i aby wszystko pozostawało w zgodzie z katolickim charakterem szkoły. Słowem, biskupi nie żądają już szkoły wyznaniowej, lecz kościelnej, wymagają, aby nauka udzielana w szkołach ludowych usunięta była z pod wpływu i kontroli państwa.

Jeżeli całe stronnictwo klerykalne przyjmie program biskupów, wówczas większość parlamentu austryackiego i rząd stanie wobec stanowczej alternatywy: albo zgodzić się na reakcyę całkowitą, albo zerwać sojusz z klerykałami. Polityka hr. Taaffego,

---

2)

Sprawa Bolestraszyckiego.

KARTKA HISTORYCZNA

Z ROKU 1627.

Przez

Aleksandra Kraushara.

II.

List wojewody Leszczyńskiego.

Ostatnie to zastrzeżenie dekretu trybunalskiego, stanowiące niejako ogólne, wszystkich obywateli Rzeczypospolitej obowiązujące na przyszłość prawo, obudziło wielkie w kraju zaniepokojenie.

Z prawnego punktu widzenia dekret trybunału, wyrokujący w sposobie prawodawczym (*decretum, vim legis sapiens*), był w sprzeczności z zasadniczemi ustawami Rzeczypospolitej, która, sejmom jedynie podobną atrybucyę stanowienia praw na przyszłość przyznawała.

Zazdrosna o swoje prawa szlachta, bez różnicy wyznania, podniosła z powodu sprawy Bolestraszyckiego wielką wrzawę, widząc w niej groźny na przyszłość precedens, nietylko pod względem przekroczenia kompetencyi sądu świeckiego, ale nawet w kwestyi wolności sumienia, zawsze w Polsce prawodawczo szanowanej.

Zachowana w rękopisach biblioteki Raczyńskich w Poznaniu korespondencya między dwoma najznakomitszymi w owej epoce dostojnikami polskimi, bezpośrednio do sprawy Bolestraszyckiego odnosząca się, przedstawia cenne źródło do poznania ówczesnych poglądów stanu szlacheckiego na atrybucyę sądu koronnego w rzeczach wiary i do późniejszego przebiegu tej sprawy na sejmie generalnym warszawskim z roku 1627 ważny stanowi komentarz.

Pradziad Stanisława Leszczyńskiego, Rafał Leszczyński, wojewoda bełzki, człowiek uczony, znawca języków i sztuk pięknych, był pierwszym, co w sprawie Bolestraszyckiego podniósł głos protestu przeciwko spełnionemu na osobie skazanego nadużyciu.

Jako gorliwy stróż swobód i wolności, czynny uczestnik w sądach koronnych i na polu walk z turkami, których w r. 1621 pod Chocimem na czele własnego oddziału rozgromił, fundator głośnego w rodzinnem mieście, Lesznie, alumnatu, sam autor i tłómacz dzieł francuskich, między innemi, poematu du Bartasa: *Judith* *), nie mógł wojewoda Leszczyński dopuścić tak jawnego pogwałcenia w Rzeczypospolitej wolności sumienia i atrybucyi sądów.

Otrzymawszy wiadomość o skazaniu Bolestraszyckiego, a przedewszystkiem o groźnym „additamencie“ dekretu trybunalskiego, odniósł się wojewoda Leszczyński niezwłocznie do księcia Jerzego Zbarażskiego z listem, w którym, opisawszy przebieg sprawy, wyraził głęboki żal z powodu krzywdy, wymierzonej obywatelowi Rzeczypospolitej *).

„Extrakt dekretu między księdzem biskupem Przemyskim a panem Bolestraszyckim — pisał Leszczyński w liście z dnia 20 czerwca 1627 r.—posyłam Waszej Książęcej Mości nie na to, abym *Tribunalitiae potestati* (władzy trybunalskiej), którą chciały mieć *sacrosanctam* (najświętszą) prawa nasze *in justi et aequi libramine* (w sprawiedliwem i słusznem) chciał *derogare* (uwłaczać), ale żebym wyrozumiał, jako się *senatui et bonum civium principi* podoba przyszyta do dekretu clausula: *in vim publicae perpetuae legio* (mocą publicznego, wieczystego prawa). Do tego czasu rozumiałem ja, że *legum ferendarum* (stanowienia) niemasz inszego, okrom sejmu placu, w tym samym ogrodzie mniemałem, że mają rość także kwiatki... (?). Teraz nie wiem co się dzieje? Czym ja zgłupiał, że

*) F. M. Sobieszczański: *Enc. Orgel.* XVI. 925. Istnieją trzy owego przekładu wydania z lat: 1620, 1629 i 1841.

*) Manuskr. bibl. Racz. nr. 16, 350.

która dopiero co święciła tryumf tak wielki, ta polityka pojednania, która w gruncie jest polityką zaklejania rys niedających się zalepić, ujrzy niebawem rozszczepienie, wobec którego zwykłe jej środeczki okażą się bezużytecznymi. Ogłaszając manifest swój urzędowo, nadali mu biskupi cechę ultimatum, którego cofnąć nie mogą bez znacznego dla swej powagi uszczerbku. Lecz czy hr. Taaffe może zgodzić się na te żądania? Czy może poświęcić szkołę, a tem samem poddać Austryę raz jeszcze pod jarzmo Kościoła, od którego ludy Austryi uwolniły się przed dwudziestu laty po długich, zaciętych walkach? Hr. Taaffe jest politykiem realnym: wie on dobrze, że narody te nie przyjęłyby biernie takiego zwrotu, lecz że oparłyby mu się z siłą rozpaczy. Zgoda z biskupami byłaby podjęciem walki ze społeczeństwem. Tej walki hr. Taaffe wypowiedzieć nie może dla zachowania sobie dwudziestu kilku głów klerykalnych. Trudno przypuścić, aby biskupi, którym nikt nie odmówi wytrawnej dyplomacyi, sami nie rozumieli tego położenia. Jeśli wszakże tak jasno i ostro sformułowali dziś swoje pretensye, uczynili to bez nadziei urzeczywistnienia ich, niejako tylko dla spełnienia swego obowiązku. Jest to krok odpowiadający starej polityce Kościoła, która pozwala zastosowywać się do konieczności niezłomnych, lecz zabrania rezygnować w zasadzie z czegoś, co on kiedykolwiek zapisał na liście swych uroszczeń.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ową tedy kroplą, która przepełniła kielich goryczy, nalewanych przez Bismarka cesarzowi, miało być starcie o przywileje prezesa ministrów pruskich. Według rozporządzenia gabinetowego z r. 1852, wszyscy ministrowie powinni każdą sprawę przedstawiać naprzód swemu prezesowi a ten dopiero rozstrzyga, czy ona ma iść do króla. Otóż Wilhelm II chciał znieść ten regulamin i przywrócić bezpośrednio stosunki ministrów z monarchą. Bismark, który o każdą drobinę swej władzy był zazdrosnym, oparł się tej zmianie, a ponieważ struna stosunku jego do cesarza była z innych powodów bardzo naciągniętą, więc pękła z ostrym rozdźwiękiem, którego nie złagodziły ani dwa czułe listy pożegnalne pana do sługi, ani nadanie odprawionemu godności *Herzoga von Lauenberg* i *General-Feldmarschala* wraz z obietnicą przysłania portretu naturalnej wielkości. Od pierwszych dwu zaszczytów Bismark podobno się wyprosił a trzeci będzie mu chyba najmniej przyjemnym. Dziennikarski harem, którego nie chciał przejąć następca wielkiego wezyra i który po dymisyi pana stracił utrzymanie, mści się teraz na jego pogromcy. Zwłaszcza stara i wygadana ladacznica *Nordd. Allg. Zeitung* chce wyraźnie przed trybunał opinii publicznej wytoczyć sprawę między kanclerzem a cesarzem i podnieca umysły przeciwko otatniemu. Monarchiczne Niemcy nigdy jeszcze takiego zgorszenia nie oglądały; więc pomimo nałogowej czci dla Bismarka i niepewności zamiarów a nawet sił monarchy, pragną stłumić skandal.

Rrzeczywiście umysłowa i moralna fizyognomia Wilhelma II nie zarysowała się jeszcze wyraźnie. Co to za człowiek i co za charakter — nie wiadomo. Ciągle i z jakąś niewytłomaczoną pobożnością modli się do dziada jako swego patrona, a robi to, od czego ów dziad umarłby po raz drugi, gdyby zmartwychwstał; przyciąga ku sobie postępowców, a jednocześnie nagradza wysokim orderem słynnego łgarza, krzywoprzysięzcę i antisemitę Stöckera. Co chwila zaś z poza plątaniny najsprzeczniejszych dążeń, wychyla się w nim postać autokraty, który chce sam władać, ma odwagę wyważyć takiego olbrzyma, jak Bismark z dwoma synami (którzy pomagając ojcu w walce nie chcieli pozostać na swych urzędach) i wykrzykuje: „kto wystąpi przeciw mnie tego zdruzgoczę“ a nawet podobno zapowiada, że jeżeli hardy sługa nie zaprzestanie swych miotań, on ukorzeniem go „świat zadziwi.“ Tą zagadkowością natury i zamiarów cesarza osłabia się sympatya dla niego w narodzie. Niemcy bez bólu i żalu zamieniliby jedną siłę na drugą, aby tylko ta druga była siłą istotną i świadomą swych celów.

Nowy kanclerz Caprivi rozesłał już okólnik dyplomatyczny z zapewnieniem, że polityka jego będzie również ochroną pokoju. Przemiana osób na innych stanowiskach ministeryalnych jeszcze nie została dokonaną.

Zapatrzona w przewrót niemiecki Europa zwolniła swe roboty polityczne. Przyjazd księcia Walii do Berlina ma podobno coś znaczyć — zbliżenie się Anglii do trójcesarskiego przymierza, ale znowu inna wieść głosi, że to przymierze będzie zerwanem. Słowem zapanował chaos, który nieprędko się uporządkuje.

Tylko państewka południowo-słowiańskie zdają się nie zwracać uwagi na ten zamęt i nie odpoczywają przy kowadłach swego losu.

Bułgarya, gniotąc pod prasą majora Panicę, wycisnęła podobno już z niego zupełne przyznanie się do winy.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

22 marca.

Wystawa sztuk pięknych w Künstlerhausie. — Prace artystów polskich.

Przed kilku dniami otworzono wielką wystawę doroczną w Künstlerhausie. Na pierwszy rzut oka przedstawia się ona świetnie, imponując przedewszystkiem ilością. Siedemdziesiąt rzeźb, śród nich kilkanaście większych; pięćset kilkadziesiąt płócien i pasteli — to ogrom dzieł, który zrazu olśnić może. Lecz przeszedłszy raz sale, pomknąwszy szybko tym strumieniem barw, widz wyraźnie czuje niezadowolenie: nie znalazł bowiem dzieł, któreby go porwać, zachwycić mogły. Jest to codzienna produkcya artystyczna, która schlebia oczom estetyka - epikurejczyka, ale nic nie ma wspólnego ze sztuką wielką. Dziś zatrzymamy się tylko przy utworach artystów polskich. Matejko, który tyle razy już sztuce polskiej za granicą do świetnych dopomógł tryumfów, i teraz pierwszorzędne zdobył jej miejsce w Künstlerhausie, wystawiając cykl szkiców, ilustrujących dzieje cywilizacyi w Polsce. Cykl ten znany jest czytelnikom *Prawdy* ze sprawozdań nadesłanych w swoim czasie. Nam donieść jeno wypada, że szkice te wielkością założenia i potęgą pomysłów szczegółowych zajmują istotnie pierwsze na wystawie miejsce. Wstąpiwszy do małej, poświęconej im salki, widz znajduje się w innym niż poprzednio świecie: tam codzienność, trywialność, moda i praca dla zarobku, tu polot myśli, twórczość żywiołowa, sztuka monumental-

---

formam Reipublicae nostrae nie pojmuję, czy jaka część Rzeczypospolitej wypada z granic swoich i więcej sobie uzurpuje niż *per leges licet* (według praw wolno). Już to podobno onego zapomnieć przyjdzie co zawsze bywało *in ore omnium* (w ustach wszystkich): bez nas, na nas... Jeśli *in conclavi paucorum* (w zgromadzeniu niewielu) siedem kresek ze dwunastu prawa stanowić i *famam* szlachcica polskiego a gardła i *fortunas* wszystkich w tę cieśnią wprawiać będą mogli, jeśli czytać i pisać *ex alieno arbitrio* przyjdzie, to i mówić... bo kto w jednym polega tej tabulaturze, *merito* i w drugim podlegać będzie musiał. A zatem Wasza Książęca Mość powiesz, jako starszy i bystrszego (sic) niżeli ja, oka, chętnie wyglądam.“

III.

Odpowiedź księcia Zbarażskiego.

Książę Jerzy Zbarażski, starszy brat głośnego Krzysztofa, ostatni z mocnego i wpływowego niegdyś w Rzeczypospolitej rodu, pan wielkiej fortuny, ambitny i dumny — jak się o nim wyraża Bartoszewicz *) — w wielkiem zachowaniu u króla Zygmunta będący, żywo wziął do serca sprawę Bolestraszyckiego i niedał wojewodzie bełzkiemu długo czekać na odpowiedź.

„O dekrecie tym trybunalskim — pisał książę *) — wiedziałem wprawdzie *superficialiter* (powierzchownie), ale owej samej treści właśnie nietylkom nie wiedział, ale anibym sobie tego nigdy nie imaginował. Pan Instygator koronny, który jest też trybunalistą, najpierwej mi powiedział o tej sprawie, teraz już po świątkach w Krakowie będąc. A iż to mi się nie zdało, aby forum takowa sprawa miała mieć na trybunale, tym mi się wymawiał, iż akcya była instytuowana jako o *famosum libellum* (paszkwil), dlatego też resforum naleziono. Wszelakoż *de hac appendice*, który w tym dekrecie widzę, ani wzmianki nie uczynił. Nie zapomniałeś różne Mój Miłościwy Panie instytuta tej Rzeczypospolitej, ale panowie trybunalistowie nie często wzierają w swe powinności i w deskrypcyę *sui muneris* (urzędowania) a zatem podobno jej zapomnieli i nową jakąś majestatem sobie *vindicant* (przywłaszczają), którą sama sobie tylko Rzeczpospolita zostawiła — *leges condere* (stanowić prawa). Nie jest ich to rzecz i nie była, jako żywo, tylko *secundum leges latas* (według praw ustanowionych) *facinora* (występki) ludzkie jakiekolwiek sądzić i *poenas errogare* (kary wymierzać). Jednakże już kilka przykładów jest wielkich, którymi sobie tej *majestatem* nadstawiają. Sądzili i mnie tak rok z niejaką Rokoszową, do czego najmniej prawa nie mieli i będzie o to da Bóg akcya na sejmie; ale to mniejsza rzecz, choćbym ją na sejmie przegrał, kiedyby *publica authoritate damnum singulare compensari* się mogło (publiczną powagą krzywdę pojedynczą zastąpić).

Ale *spreta majestate publica* (ze wzgardą majestatu ogólnego) kilkąm, albo kilkunastom, *quod omnibus debetur* (co wszystkim przynależy) to już nowa majestas!

Pytasz mię Waszmość, Mój Miłościwy Pan, co ja o tem rozumiem, albo będę rozumiał? To, co rozumiem o armiej i o mynicy, wiadomo wszyskim, co na ten czas w senacie byli, a drudzy przeciwko jawnym swoim prawom mówili, biorąc praemia za to. Złe były i przeszłe exempla niektórych, co nimi sobie trybunał *plus potestatis* (więcej władzy) niżeli mu jest dano.

Jednak widzisz, Waszmość, do jakich już przyszło, bo tak *silentio transitum*, a dobrze. Rzymianin napisał, iż *tramites* (ścieżki) pierwej szukają, a skoro je znajdą, prędko *lata via* (szeroką drogą) *offunduntur* (rozlewają się).

Chciałem ja temu tak dwie lecie zapobieżeć i dano było artykuł z Proszowic, żeby się powinni trybunalistowie podpisować na dekreta, które *contra consensum* drugich wychodzą (wbrew zdaniu innych) i są czynione *contra praescriptum* (przeciw przepi-

*) *Enc. Org.* XXVIII. 399.

*) Rękop. Bibl. Racz. 93, 278.

na. Są to szkice olejne, o kolorycie żywym i mnóstwie figur drobnych, tak, iż nie zawsze widz odrazu zoryentować się może w kompozycyi, genialnym rzutem tylko naznaczonej; lecz skoro oko odnajdzie nić tego kłębka barwnego, wnet poznaje przepyszną myśl układu. Celuje pięknością kompozycyi zaraz szkic pierwszy „Wprowadzenie chrześciaństwa“; dorównywa mu jedenasty, wyobrażający wybór króla, jako „czasy złotej wolności.“ Inne szkice przedstawiają koronacyę pierwszego króla, przyjęcie żydów, pierwszy sejm w łęczycy, klęskę lignicką, zajęcie Rusi, przeniesienie wszechnicy do Krakowa, nawrócenie Litwy na chrześciaństwo, humanizm i husytyzm w Polsce, złoty wiek literatury itd. Krytyka wiedeńska odzywa się o tych utworach jednozgodnie z uznaniem najwyższem.

Były one tem bardziej pożądane na wystawie tegorocznej, ile że po za nimi sztuka polska niezbyt świetnie wystąpiła. Zygmunt Ajdukiewicz nadesłał z Monachium mały obrazek rodzajowy, p. t. „Przerwana partya.“ Na werendzie dworku szlacheckiego widzimy dwóch ludzi grających w karty; przeszkadza im wykwintnie ubrany szlachcic, który przybywa w gościnę. Jest to obrazek, jakich wiele, niczem nie zwracający na siebie uwagi. Nie ujdzie natomiast oku znawców studyum Emilii Dukszyńskiej, warszawianki, snać również pozostającej pod wpływem szkoły monachijskiej. Wyobraża ono otyłą, rumianą przedmieszczankę saską, uśmiechającą się do kolosalnej szklanicy piwa; jest to rzecz niezmiernie żywa i plastyczna. Roman Kochanowski nadesłał pejzaż nadwiślański, przedstawiający strzechę rybaczą, ozłoconą promieniami słońca zachodzącego. Dużo w tym widoku poezyi barw i wdzięku perspektywicznego, lecz zbyt mało prawdy. Kazimierz Pochwalski, krakowianin, wystawił obraz rodzajowy o założeniu równie niepretensyonalnem, jak motyw Ajdukiewicza. Małe chłopię, leżąc na podłodze, bawi się z kociętami, które skaczą dokoła. Przyznać jednak należy, że zarówno wdzięk wesołego dziecka, jak swawolę rozbawionych zwierząt oddał artysta z talentem i że w wykonaniu nie widać ani śladu zarazy niedbalstwa, rozwielmożnionej obecnie wśród malarzy wiedeńskich i paryskich. Pokaźniejsze zajmuje miejsce wśród obrazów rodzajowych Trębacza „Rekonwalescentka.“ Jest to praca większych rozmiarów; dziewczyna bowiem, która siedzi na łożu, opierając się na poduszkach, oddaną jest w naturalnej wielkości. Z okładem na głowie zgadza się smętna twarz; ubogie łóżko i małe lusterko na ścianie dopełniają wrażenia, które artysta osiąga smutnym nastrojem obrazu. Kobierskiego drobne portrety akwarelowe umieszczono dość fatalnie nie bez racyi. Ogólne upodobanie budzą natomiast, jak zwykle, Rybkowskiego sceny z jarmarków galicyjskich. Są to miniatury w guście niezrównanych „jarmarków“ Pettenhofena, malowane z polską zamaszystością, a przytem starannie wykonane. Rybkowski, znany publiczności i krytyce wiedeńskiej, bez ujmy dla rozgłosu swego stanąć może w Künstlerhausie z drobnostkami, zwłaszcza skoro tak dzielnie są wykonane. Pragnęlibyśmy natomiast zachęcić resztę artystów naszych, mieszkających w kraju lub za granicą, aby baczniejszą zwrócili uwagę na wystawę wiedeńską. Być może, że Monachium i Paryż lepszemi są miejscami odbytu, ale to pewna, że jak w dziedzinie muzyki i dramatu, tak na polu sztuk plastycznych Wiedeń jako instancya krytyczna zajmuje stanowisko pierwszorzędne i prześciga dziś jeszcze Berlin nawet w opinii Niemiec, a bardziej jeszcze w opinii innych krajów.

Prócz obrazów wspomnianych powyżej, znajdujemy jeden jeszcze pastel artysty polskiego: jest to „Madonna“ Mieczysława Reyznera, który ze Lwowa przeniósł się do Krakowa, z Krakowa do Paryża, a jednak ciągle jeszcze maluje rzeczy z wosku. Pomiędzy rzeźbami jedno tylko jest dzieło dłuta polskiego — Tadeusza Błotnickiego „Ignacy Loyola,“ biust z bronzu, celujący siłą charakterystyki.

Stwosz.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 12 marca.

Okresy działalności Leona Tołstoja. — Obraz malarza Ge. — Ruchoma wystawa. — Przyjemne potwierdzenie faktu.

Słynny pisarz hr. Tołstoj przechodzi obecnie trzeci okres swej działalności. Ćwierć wieku temu był idealistą — postępowcem, jednym z głównych filarów ówczesnych dążeń; w ostatnim dziesiątku lat staje się podwaliną literatury ludowej, mającej za zadanie krzewić w kołach głębsze, etyczne zasady.

W tymże czasie wielbiciele nowego kierunku Tołstoja zakładają księgarnie pod firmą *Pośrednik*, starające się usunąć z rąk ludu fabrykaty wydawców moskiewskich, tj. książki zwykle bezzasadne, a częstokroć — bezsensowne i zastąpić je doborowemi. To przedsięwzięcie ma przyszłość. Korespondent połtawski gazety *Dień* (nr. 615) zaznacza, że na ostatnich jarmarkach wydawnictwa *Pośrednika*, *Ruskiej myśli* itd. miały znaczny odbyt. Kupowali je przedewszystkiem włościanie, którzy, jak wiemy skądinąd, po przeczytaniu kupionej książki, starają się odprzedać ją z pewną zniżką sąsiadowi. Poczem biegnie ona coraz dalej, tracąc zewnętrzne zalety i cenę, aż ostatni otrzymuje szczątki—za parę groszy.

Wracając do hr. Tołstoja widzimy, że jednocześnie z utworami dla ludu napisał kilka prac, np. *Spowiedź*, *Moja wiara* itp., gdzie objaśnia, jakie wewnętrzne czynniki dokonały zwrotu w jego przekonaniach — przyczem nawołuje do porzucenia fałszywych ścieżek cywilizacyi, osnutej na zewnętrznej ogładzie, na bladze, wyzysku, a do zbliżenia się ku naturze.

Środowiskiem nowych jego przekonań jest zasada: Nie sprzeciwiaj się złemu, nie walcz z niem, znoś niesnaski, aż ustaną. Jest to, jak widzimy, prawie niezmieniony na obliczu, staruszek stoicyzm — czy pożyteczny dla społeczeństwa teraźniejszego, czas pokaże. W każdym razie znakomity pisarz stworzył pewien ruch umysłowy i zyskuje zwolenników.

I oto... z jakichś niewiadomych przyczyn przerzuca się w swych utworach do realizmu: dramat — *Władza mroku* i nowela — *Sonata Kreuzera*, o których pomówimy innym razem, zakreśliły granicę trzeciego okresu; chociaż i tu kwestye psychologiczne są na pierwszym planie, lecz osnowa i forma krańcowo realne. Tym sposobem stoicyzm zbliża się do szkoły cyników.

To wspomnienie o Leonie Tołstoju przyda się nam, gdy wstąpimy do gmachu Akademii nauk, na ruchomą wystawę artystyczną, albowiem najwybitniejszy obraz: „Chrystus przed Piłatem“ malarza Ge, wykonany został pod wpływem wspomnionego pisarza.

Zbliżając się do obrazu, powinniśmy o tem pamiętać, ażeby wraz z ogółem nie oburzać się na artystę za niewłaściwe przedstawienie Boga-człowieka. W każdym razie mamy prawo wnioskować, że ujrzymy jednego z owych wielkich nauczycieli, co pory-

---

sowi) im danego i żeby ukrzywdzonemu wolno było takich na sejm pozwać, ale jako to przewieść było, kiedy senat na to nie pozwolił? Teraz już nie może być gorzej, jako *sub poena vitae et confiscationis bonorum* (pod gardłem i konfiskatą dóbr) zakasować równym sobie *poenas absolutorum principum* klaść w swoich dekretach, czego ani król polski, ani nikt czynić nie może *salva libertate*, jedno same *ordines Regni*.

Chciejcie Jego Waszmość zrzucić to *onus* bez respektów żadnych i jako *liberis civibus* się godzi, na nic się nie oglądając, bo ja, jako we wszystkich sprawach *muneri meo* (do mego urzędowania) należących, powinienem być *ante signanus* (przed chorągwią stojącym), tak i będę, ale mię nie odbiegać in *causa publica*, ani się cofać nazad, kiedy się *primi ordinis centurio* potka. Trzeba to na sejmikach, w artykułach dać *ista generalitate* nakrywszy, aby żadne dekreta trybunalskie, które *extra praescriptum* od Rzeczypospolitej danego, gdy trybunał był stanowiony wychodzą i tę *potestatem*, której nie mają sobie *vendicant*, owszem *potestatem totius Reipublicae despiciant* (gardzą powagą całej Rzeczypospolitej) nietylko *irrita et inania* były, ale żeby tych trybunalistów, którzy na ten czas siedzieli, wolno było każdemu ukrzywdzonemu na sejm pozwać. Bo nie będzie to *convulsio potestatis et majestatis* (naruszeniem władzy i powagi) tego sądu, która mu jest od wszystkiej Rzeczypospolitej dana. Urzymian onego czasu jużby była *dicta* (uchwała) o takową rzecz i okrutnieby karano, ale u nas niemasz tej *legem*, a trzeba ją koniecznie uczynić. Do czego, iż wiem, że księża będą *summo pere* (usilnie) przeszkadzać, ja jednak, chociam jest katolik i nim, da Bóg, umrę, jednak non *sacrificulus* (świętoszek) ani łysy obrazek, bo, co *libertati meae sed non religioni pertinet* (wolności mojej, lecz nie wiary dotyczy) gotowem przeciwko temu utonąć *et immori circa libertatem*, ale z tą kondycyą — abym miał *commilitones* (współtowarzyszów broni).

IV.

Uchwała sejmowa.

Oprócz przytoczonych głosów dwu dostojników Rzeczypospolitej, którzy, w imię pogwałconego majestatu sejmujących stanów zaprotestowali przeciw dekretowi trybunału, rozbrzmiały i inne jeszcze wymowne protesty mężów, którym pogwałcona wolność sumienia obojętnie dekretu tego przyjąć nie pozwalała.

Do rzędu mężów takich należał głośny za czasów Zygmunta III uczony i publicysta — Jędrzej Moskorzewski.

„Pozwano Bolestraszyckiego — pisał Moskorzewski — że wydał książkę *sine consensu loci ordinarii* (bez zezwolenia biskupa). Toć potem pozwą drugiego, że bez licencyi biskupiej pacierz mówi, albo książkę jaką różnemu nabożeństwu służącą, czyta, do zboru chodzi *et alia*. To i samym Waszmościom, jeżeli nie według zdania Ichmościów duchownych nie będzie wolno w którie kleszcze twardej niewoli dawno Ichmościowie Waszmościów ująć usiłują, nad co, wspaniałego animuszu człowiekowi z wszelkiej nieznośnej niedoli ucisków (*ex intolerabili servitute*) co może być cięższego? Za naszego i naszych rodziców wieku cóż było temu podobnego? Bo jeżeli mamy wolno *religionis exercitium*, czego nikt zaprzeć nie może, wolno i to, co kto wierzy wyznawać, toć i napisać... Molinowi, plebejuszowi we Francyi, w samowładnem królestwie katolicyzmem nad wszyskie górującem (*in absoluto et catholicissimo imperio*), w Paryżu, pod bokiem zwierzchności mieszkającemu, wolno było tę książkę napisać. Bolestraszyckiemu, szlachcicowi polskiemu, najwyższą w chrześciaństwie wolnością, zwyczajem i prawem ojczystem, przysięgą Pańską szczycącemu się, nie wolno było bez kary tak twardej tejże przetłomaczyć! Wolność że to, czy najtwardsza niewola? (*durissima servitus*). Ależ od wszystkich wieków jako pisma nastały, wolno było pisać każdemu, co rozumiał, dowcipy się ze sobą ścierały, pióro tępiąc piórem i ta papierowa wojna na wszystek świat po dziś dzień płuży. Nie skądinąd zaś, jak z owego

wali tłumy, lub przynajmniej stoika, na wzór Jana Chrzciciela.

Wszystkie nasze przypuszczenia zawiodą. Ujrzymy ponure, zgnębione oblicze izraelity, którego zresztą o ile można wnioskować, zjednać, ani nagiąć do swych przekonań nie zdołamy, po za tem — nic. Nie jest to ani nauczyciel, ani genialny prawodawca, jeno pośredni typ między zarysowanym przez Renana, chwilami wątpiącym o swych siłach prorokiem, a średniowiecznym ascetą — podług szkiców Lombrosa. Piłat z szyderczą, opasłą twarzą, zapytujący: „Co jest prawdą?“ — lepiej się udał.

Zresztą cała tegoroczna wystawa nie wiele ma wykończonych obrazów—myśli głębszych jeszcze mniej.

Makowskiego jest sześć obrazków, lecz niektóre tak maluczkie, że ledwo można coś dojrzeć. Największy z nich przedstawia tłum zebrany przed domem nocnego przytułku: smutny, rozpaczliwy widok — myślałbyś, przeniesiony z najciemniejszych zakątków Londynu. Szkoda, że artysta nie opracował go należycie; jest to szkic, wprawdzie o głębszej myśli, lecz tylko szkic. Iwanow wystawił chłopaka—włóczęgę, którego stójkowy przyprowadził do przysionku cyrkułu: obie postacie są nader udatne, a tak żywe, że każdy z widzów gotów zaręczyć, iż widział gdzieś podobne. Lemocha „Na wyzdrowieniu“ przedstawia marzycielską scenę: matka, otoczona kilgorgiem dzieci, karmi jedno z nich leżące w pościeli. Obrazek wykończony starannie i nader sympatyczny, tylko kobieta, jak na matkę, trochę za młoda. G. Miasojedowa: „W dali od świata,“ czyli młody pustelnik, obrazek pełen poezyi— lecz blask, zapewne zachodzącego słońca, oświecający koronę drzew, nie harmonizuje z otaczającym półmrokiem. N. Bohdanow dał wdzięczny i naturalny małoruski obrazek, pod tytułem: „Spóźniła się.“

Jeżeli do tych dodamy Matwiejewa „Ślub w więzieniu,“ gdzie udatne są postacie panny młodej, co wiąże swój los z człowiekiem bez przyszłości i stojącego na boku dozorcy — oraz wyrazisty obrazek Bohdanowa-Bielskiego „Przyszły zakonnik“—to zakończymy przegląd wybitniejszych scen rodzajowych.

Portretów jest kilka i prawie wszystkie ładne. N. Jaroszenki: „Syn chemika Mendelejewa“—żywy do złudzenia. Riepin zdobył się ledwo na jeden portret — wprawdzie bardzo artystycznie wykończony, lecz na tem skończył — a szkoda!..

Przechodząc do krajobrazów, aby nie nużyć uwagi czytelnika, zaznaczę zaledwie kilka, chociaż w tym zakresie udatnych jest sporo. Briułłowa „Noc,“ Wołkowa pełen poezyi i prawdy „Wilgotny poranek,“ „Jesień i „Na brzegu rzeki,“ Szyszkina „Zima w lesie“ i „Błoto,“ Sejthofa „Staw peterhowski,“ Dubrowskiego „Cisza przed burzą“ — i dosyć!

Wogóle obrazów pod tytułem „Jesień“ znajdujemy aż pięć; za tem idą nazwy: wiosna, zima, staw, noc, wieczór — a wszystko to mniej więcej sprowadzić możemy do jednego mianownika: kawał lasu, trochę wody, czasami urwisko lub wzgórze, a jeżeli jeszcze chałupa lub jakieś ptaszę, to już wielkie bogactwo. Odróżnić, a tembardziej spamiętać tych wszystkich jesieni, wieczorów, niepodobna... zresztą i niewarto.

Muszę jeszcze zaznaczyć dwa obrazy, pomyślane ładnie, lecz zepsute wykonaniem. Zoszczenko przedstawił grupę ludzi, oczekujących na rynku wynajęcia. Patrząc na obraz zdaleka, trudno rozpoznać oblicza, tak są drobne; jeżeli się zbliżysz, ujrzysz jeno pstrociznę. Obraz Nestorowa „Widzenie pacholęcia Bartłomieja“ (św. Sergiusza) udatniejszy: pacholę wpół przelękłe, wykonane dobrze, lecz za sztywne, a koloryt, podług dowcipnego określenia jednego z widzów, jest taki, jak gdyby sto lat temu uciekło zeń słońce.

W ostatniej korespondencyi pisząc o balu katolickiego Towarzystwa dobroczynności uczyniłem wzmiankę, że widzieliśmy w sali przedstawicieli i średniej inteligentnej klasy i arystokratycznej...

Owoż kronikarz *Kraju* zupełnie potwierdza nasze słowa (nr. 7), albowiem powiada: „W galeryi honorowej... ks. Wilhelmowa Radziwiłłowa, senatorowa Małkowska i p. Natalia Spasowicz *) zajęte były przyjmowaniem członków dyplomacyi i arystokracyi.“

I tak — arystokracya była na balu, inaczej kogożby przyjmowano! Jest to rzeczą przyjemną, lecz bardziej cieszy nas inna okoliczność. Czytając imiona wzmiankowanych pań, widzimy, że i nasza średnia klasa miała swoją przedstawicielkę dla „czynienia honorów domu“ — i nikt z arystokracyi na nas się za to nie obraził, owszem wszyscy byli w świetnych humorach. Jak to przyjemnie widzieć braterstwo, jednoczenie się!

N. B.

*) Żona wielce szanowanego członka naszej kolonii p. Cypryana Spasowicza.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 25 marca.

La bête humaine Zoli. — *Le Cadet* Richepina — *Les Termites* Rosny'ego. — *Infamie humaine* Vermescha.— *Dernière Bataille* Drumonta.

Pierwsze miejsce w tej kronice należy się oczywiście *La bête humaine*, której stosy szybko rozprzedają się „pod Odeonem.“ Jest to niechybna oznaka, że mamy przed sobą najpoczytniejszą w chwili obecnej „nowość literacką.“ Niema w tem zresztą żadnej niespodzianki. Co rok o tej samej porze publiczność rozchwytuje ostatnią powieść Zoli — od lat piętnastu, jeżeli się nie mylę. Punktem szczytowym tego rozgłosu była, nienajlepsza bynajmniej w seryi Rougon-Macquartów, *Nana*, tłoczona w 155 tysiącach egzemplarzy, tworzących 155 wydań. Ostatnie powieści mistrza naturalizmu nie przekroczyły 80,000.

Bête humaine nie ustępuje w niczem najlepszym powieściom Zoli. Nie należy również mniemać, że w utworze tym naturalizm doszedł do herkulesowych słupów okropności, potworności i „surowości“ językowej. Bynajmniej. Inne powieści tegoż autora mogłyby snadnie zakasować pod tym względem dzieło ostatnie. Zola istotnie chciał tu przeciwstawić zapatrywaniom na zbrodnię, znajdującym się np. w utworach Dostojewskiego, własne poglądy, bardziej zgodne z usposobieniem i naturą społeczeństwa francuskiego. Zdaniem jego, zbrodnia nie popełnia się pod wpływem rozumowania i długiego namysłu, lecz nagle, bezwiednie prawie, pod działaniem drzemiących w naszej naturze pierwotnych, zwierzęcych instynktów, które cywilizacya nie była w stanie zupełnie zagłuszyć. Główny bohater, Jakób Lentier (czytelnicy uprzytomnią sobie całą parantelę), cierpi nawet na chorobliwą manię mordu. Powstrzymuje ją z wielkim wysiłkiem do czasu; patologiczna atoli namiętność bierze pod koniec górę i Lentier zabija własną metresę, którą kochał nader gorąco. Manię tę objaśnia autor

---

ducha inkwizycyi hiszpańskiej na JW. Bolestraszyckiego ta burza wyniknęła, iż go za przetłomaczenie książki francuskiej więżą przez sześć miesięcy na dnie (*in fundo*) i winą czterystu grzywien skazano; wędrowną książkę przez ręce katowskie na ogień puszczono, przetłomaczony dyskurs, którego thema: *vanitas vanitatum et omnia vanitas* jako uszczypliwy paszkwil wywołano, czytać go szlachcicowi pod uczciwością, plebejom pod gardłem i konfiskacyą dóbr zakazano. Jakoż już P. Janickiego, podstarościego włodzimierskiego o tę książkę turbują, na trybunał prosto pozwawszy *).“

Ten ostatni fakt przez Moskorzewskiego przytoczony dowodzi, że klauzula dekretu trybunalskiego nie była czczem zagrożeniem, lecz że ją w praktyce stosować poczęto.

Za wspólnem porozumieniem się dysydentów polskich wystosowana do króla Zygmunta III i do stanów zgromadzonych na sejm z r. 1627 suplika, z przedstawieniem domierzonej Bolestraszyckiemu krzywdy, możeby skutku nie odniosła była, gdyby w obronie jej nie stanęła szlachta, silnie obrotem tej sprawy zaniepokojona. Treści supliki tej nie znamy; śladu jej dotychczas nie znaleziono, ale pozostał w księdze praw narodu niezatarty ślad jej skuteczności, dowodzący, iż przeciw nadużyciom sądów znajdowano zawsze środek w odwołaniu się do sejmu i że nieliczne takich właśnie nadużyć władzy sądowej przedstawiają nam dzieje krajowe przykłady *).

*) Ossoliński, *Wiad. hist.*, I, 280—293.

Konstytucye sejmu warszawskiego z roku 1627 obejmują, między innemi, uchwałę, wydaną z powodu wyroku trybunału w sprawie Bolestraszyckiego ferowanego, treści następującej:

„Trybunał iż *potestatem condendarum legum* (władzy stanowienia praw) niema, jedno według prawa od wszystkiej Rzeczypospolitej postanowionego sądzić powinien. Takich spraw, któreby w prawie opisane nie były, przypuszczać przed się niema, ani *poenas irrogare* (kar nakładać), ani nimi nikogo *aggravare* (uciążać), nadto, jako są prawem pospolitym oznaczone: a gdzieby się takowe dekreta lub klauzuły ich znalazły, któreby *vim legis saperent* (w zakres prawodawczy wkraczały), albo pokój pospolity wzruszały, *jak to niektóre additamenta w pewnych dekretach na przeszłym trybunale lubelskim w sobie mają*, do takich żaden podciągany być niema i owszem mają *nullitati subesse* (ulegać nieważności *).

*) „Jakie były natenczas motus o sprawę Bolestraszyckiego — pisał w r. 1717 w memoryale swoim Unrug — o którego się całe *corpus dissidentium* w Polsce *junctim* ujęło i *tanquam causam communem urgebant* i *tandem* znaczne auxilia otrzymali, patet z supliki wyżej wspomnianej, która *exmente sancychie* Ichmości Panów katolików, którzy ją czytali, godna, aby całemu światu *per typum pateat*.“ str. 55.

Tak się zakończyła głośna swego czasu sprawa Bolestraszyckiego nie zrządziwszy potępionemu przez trybunał żadnej krzywdy. Był on — jak wzmiankują źródła — *pristino honori restitutus* i nie odcierpiał wymierzonej nań kary więzienia.

Przekład Heraklita wszakże wycofanym został z obiegu i dziś najbogatsze nawet biblioteki posiadaniem rzadkiego druku Bolestraszyckiego poszczycić się nie mogą.

Widocznie i za następnego panowania musiała zajść potrzeba przypomnienia sądom granic ich kompetencyi, jeśli w roku 1638 wznowiono konstytucyę sejmu warszawskiego z roku 1627 **).

Znalazła też ona zastosowanie i na sejmie z roku 1726 w głośnej, a mniej szczęśliwie zakończonej sprawie Unruga.

*) *Vol. leg*, III, 263 (Ohr.).
**) *Vol. leg.* III, 444 (Ohr.).

K O N I E C.

dziedzicznymi skutkami alkoholizmu; nowsze badania wykazały istotnie, że alkoholizm przejawia się dość często w potomstwie jako niepowstrzymany popęd do morderstw.

Osią opowiadania jest zabójstwo, dokonane w pociągu kolejowym na osobie jednego z dyrektorów kolei. Pobudką morderstwa jest zazdrość i zemsta męża, odpłacającego się w ten sposób za uwiedzenie żony, kiedy była jeszcze młodziutką dziewczyną. Na ślad tego stosunku wpada Roubeaud przypadkowo i wybucha niepowstrzymanem pragnieniem mordu, którego przy czynnej pomocy swej małżonki dokonywa. Zabójstwo to jednak wprowadza rozdźwięk w zgodne dotychczas stadło. Mąż zaczyna po całych nocach grywać w karty — żona bierze kochanka, wspomnianego Lentiera.

Tłem powieści jest linia drogi żelaznej między Paryżem i Hawrem. Wciąż tedy rozlega się odgłos sygnałowych dzwonków, przebiegają z szumem i hukiem pociągi, mijają stacye i przystanki... Całą tę organizacyę ruchu mamy przedstawioną z drobiazgową a jednak nienużącą dokładnością. Zola umie z epicką plastyką i naiwnością ożywiać naturę martwą; pociągi kolejowe mają tu więc jakąś duszę żywiołową, zwierzęcą. Jedną nawet z bohaterek powieści jest lokomotywa, nosząca nazwę „la Lison,“ w którą wkłada autor duszę kobiety; ma ona kochanka w osobie maszynisty, którym jest właśnie Jakób Lentier. Nim poznał panią Sewerynę Roubeaud w okolicznościach nader tragicznych, był bowiem jedynym, nawpół zresztą tylko świadomym świadkiem popełnionej zbrodni, kochał namiętnie i wyłącznie swoją Lison (Ludwinię) i ona odpłacała mu najpełniejszą wzajemnością. Prześladowany wciąż manią zabójczą, unikający kobiet, Lentier czuł się dopiero swobodnym i zadowolonym na swojej maszynie, gdy prowadził pociąg pospieszny. Kiedy wreszcie maszynista w inną stronę zwrócił swe afekty, stosunki między nim a maszyną zaczęły się psuć coraz bardziej, aż wreszcie zakończyły się śmiercią zrozpaczonej i rozstrojonej Ludwini, gdy pociąg prowadzony przez Lentiera uległ wykolejeniu, katastrofie, będącej dziełem młodej, dzikiej kobiety, która kochała się w Jakóbie bez wzajemności.

Powieść kończy się zobopólną śmiercią maszynisty Lentiera i palacza Pecquent, którzy kiedyś, na *Lison* byli wielkimi przyjaciołmi, potem jednak śmiertelnie się poróżnili i wszczęwszy sprzeczkę w czasie biegu pociągu, zepchnęli się pod jego koła. Pociąg, naładowany po brzegi śpiewającem i pijanem żołnierstwem — rozpoczyna się bowiem wojna francusko-pruska — a pozbawiony kierownika, pędzi jak straszliwe symboliczne widziadło (train - fantôme) w nieznaną dal ku przepaści...

Wypada mi jeszcze wspomnieć o pysznych obrazkach sądownictwa, zawartych w powieści Zoli. Autor chciał i tu przeciwdziałać utartemu, w literaturze przynajmniej, typowi sędziego i inkwizytora, przenikającego wszelkie tajniki zbrodniarza. Sędzia śledczy Zoli, mimo całą swą zawodową przebiegłość i niezaprzeczone zdolności, stwarza sobie najzupełniej błędne pojęcie o rzeczywistym stanie rzeczy — i zbrodnia, opowiedziana w powieści, pozostaje tajemnicą dla przenikliwej Temidy. Kiedy wreszcie Roubeaud, zamieszany najniesłuszniej i skazany w innej sprawie, przyznaje się do morderstwa popełnionego na osobie dyrektora Grandmorin — sąd mu nie wierzy, skazuje natomiast najniewinniejszego człowieka, na którym ciążyły tylko pozory...

Zbytecznem prawie nadmieniać o bystrości i głębokości analizy psycho-fizyologicznej, o czarującej, chociaż smętnej poezyi, o spokojnej wreszcie, wyrozumiałej filozofii, unoszącej się nad dolami ludzkiemi i każącej autorowi widzieć przedewszystkiem ludzi, nawet w zbrodniarzach.

Zola zapowiedział niedawno, że niezadługo ukończy seryę Rougon-Macquartów: pozostaje mu jeszcze do napisania parę tomów, których treścią ma być pieniądz, świat wojskowy, polityka, a wreszcie przyjdzie tom końcowy, mający być epilogiem całej seryi. Naturalizm „nowy“ i stary śpiewa już pieśń łabędzią, dogorywa zaś w drugorzędnych i trzeciorzędnych swych przedstawicielach, budzących dziś wstręt i obrzydzenie. Dzieło atoli, podjęte przez Zolę i postawione na nogi potężnym jego talentem, pozostanie na długo, jak pozostanie z naturalizmu to, co wyszło z prawdziwego talentu, sumiennej obserwacyi i pilnego opracowania.

Do szkoły naturalistycznej głównie pod względem budowy zewnętrznej, należy świeżo wydana powieść poety *Bluźnierstw*, Richepina p. t. *Le Cadet*. Zaleca się ona trafnością i subtelnością analizy psychofizyologicznej, śmiałością kreślonych konturów i dosadnością wyrażeń. Rzecz dzieje się w głuchym kącie Pikardyi; dramat rozgrywa się między dwoma braćmi a żoną jednego z nich. Utalentowany i oryginalnego polotu poeta chwytał już nieraz za pióro powieściopisarza, nowelisty i dramaturga, pozostawiając na wszystkiem ślady talentu i wybitnej indywidualności.

Zgryźliwą i zrzędną reakcyą przeciwko naturalizmowi jest powieść Rosny'ego *Les Termites*. Autor należy do szkoły symbolistów i dał się już poznać powieścią *Le Bilateral*, w której chciał odtworzyć niektóre typy i stosunki śród partyj i odłamów socyalistycznych. W *Termitach* wyszydza uganianie się naturalistów za faktami, fakcikami i drobiazgami; kreśli przytem niezbyt pochlebne sylwetki głównych przedstawicieli, nie wymieniając ich po imieniu. Rzecz cała zakrawa na rodzaj autobiografii, pisana jest językiem ciężkim i ciemnym— daje jednak dużo do myślenia. Wiele przytem uwag autora jest trafnych i słusznych.

Czy wiecie kto był za czasów komuny redaktorem odnowionego czy odrodzonego *Père Duchesne*, pisma, które gwałtownością języka, stanowczością proponowanych środków i jadem nienawiści starało się sprostać swemu niedoścignionemu pierwowzorowi z czasów pierwszej rewolucyi? Był nim niejaki Vermesch, pisarz zbuntowany, rozgoryczony, kolega i towarzysz Juliusza Vallésa oraz poety dekadentyzmu Pawła Verlaine, który puszczając obecnie w świat jedyną powieść Vermescha pod charakterystycznym tytułem *Le Infamie humaine*, zaopatrzył ją sympatycznym wstępem i życiorysem przyjaciela. Treść utworu wyrażona jest w jego tytule. Osnowa dość orygtnalna, przypomina czasy drugiego cesarstwa a stanowi właściwie autobiografię autora i wypowiada jego poglądy. Vermesch, nie doczekawszy się amnestyi, zmarł w r. 1878 na wygnaniu w Londynie, dostawszy pomieszania zmysłów.

Dernière Bataille Drumonta współzawodniczy z powieścią Zoli pod Odeonem co do poczytności. Jest to ten sam, znany nam już z prac poprzednich Drumonta zbiór anegdot, wypadków charakterystycznych, szczegółów zakulisowych, dotyczących faktów świeżej daty, jak bankructwa *Comptoir d'escompte*, przedsiębiorstwa kanału Panama itd. Żydzi wciąż są złymi duchami różnych katastrof. Książka pisana tym samym, co i dawniej, językiem gorącym, namiętnym, podnoszącym się niekiedy do mocy proroczej. Co do postaci tego nowoczesnego krzyżowca dodam, że Drumont urodził się w r. 1844 w Paryżu, który ubóstwia i któremu poświęcił wiele kart wymownych w ostatniej pracy. Debiutował w dziennikarstwie w ostatnich latach cesarstwa.

Z książek oddzielnie wydanych napisał: *Mon Vieux Paris*, nagrodzone przez Akademię, powieść p. t. *Dernier Tremolin*, wreszcie komedyę *Je déjeune à Midi*, graną w Gymnase.

Po dłuższem milczeniu zjawiła się serya znanych pamfletów antisemickich.

E. P.

LITERATURA POLSKA.

Mikołaj Mazanowski. *Żywot i utwory Antoniego Malczewskiego*. Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1890.

Marya Malczewskiego jak miała szczęście do ludzi a zwłaszcza do serc stęsknionych, które się do niej tuliły, tak znowu nie miała szczęścia do sądu kompetentnej krytyki. Na samym wstępie w świat przysiadł ją jeden z pseudo-klasycznych sędziów, czy stróżów wodnistej czystości języka (Dmochowski, syn), podchwytując autora za słowa, niewyszlifowane na bruku warszawskim. Berło krytyki ujęli potem w ręce romantycy (Mochnacki, Grabowski, Goszczyński), a unosząc *Maryę* w sfery mistycyzmu, zaciemnili do reszty tajemnicze kontury jej fizyognomii. Epigonowie romantyzmu zalewali ją potem powodzią ogólników, jakich spory zasób noszą z sobą zaciężne dziennikarskie zastępy, obowiązane do wymierzania doraźnych wyroków, bez żadnego uzasadnienia. Odbiła się więc na niej i blaga warszawska i wielkopańskie maniery stańczyków itp. plagi.

Zaledwie ją z tego błota wyciągnęli Chmielowski i dr. Gramlewicz, aż oto nowy na jej martwą głowę spada ciężar w formie uczonej rozprawy p. Mikołaja Mazanowskiego. Ten ostatni (brat Antoniego, znanego literata), obecnie nauczyciel przy gimnazyum Bernardyńskiem (w Galicyi) złożył w swej książce dowody wielkiej pilności i pracowitości, lecz czuć od niej jeszcze zaduch atmosfery szkolarskiej — do upakarzającej zależności od swoich profesorów sam się przyznaje w niesmacznem podziękowaniu — widać nawet krople potu, jakie spływały z czoła młodego autora na jego mrówczą i zmudną robotę.

Przypatrzmy się przedewszystkiem *Maryi* w świetle tej najnowszej krytyki. Jest ona wiernem odbiciem tragedyi życia poety, wydobywającego z niej ostatni jęk do dna rozdartej duszy. Los dał Malczewskiemu wysokie pochodzenie rodowe, ale on okrył je piętnem niesławy; dał mu dostatki na to, żeby umierał w nędzy, towarzyskie zalety, aby go przyjaciele porzucili przy łożu śmierci, zewnętrzną piękność, namiętne i burzliwe serce, żeby doznawszy w miłości zawodu, związał się małżeństwem z kobietą nieukochaną, istnym ciężarem i jakby wyrzutem przy zgonie za własne i cudze winy; dał mu los wreszcie wielki talent, ale za życia spłynęło zeń tylko rozczarowanie, bo sława miała dopiero po śmierci otoczyć skroń jego liściem wawrzynu. Pierwszą truciznę podała mu namiętna miłość do ks. Fryderykowej Lubomirskiej. Unoszą się nad jej portretem moralnym: miał to być pastel nawiany pyłkiem barw, wypieszczony dojrzanymi tylko oku kochanka odcieniami niewieściego charakteru. W gruncie rzeczy była ta piękna pani, jak inne, zaskorupiona w przesądach swego stanu, niezdolna przełamać zapór stanowiska społecznego, ani potargać pęt religijnego ślubu. Stosunek ten zostawił w piersiach poety ostre kolce. Uczucia ludzkie — skarży się on — są jak las ciemne: dla jednych czas powoli niesie odrętwienie — tracą listek po listku i stoją wreszcie obnażone; w inne grom uderza i na zawsze zostawia znaki spalenizny — rozszerzając pożar po całym lesie i zostawiając smutne zgliszcza... Jeszcze grubszy osad goryczy zostawił na dnie serca poety stosunek z cioteczną siostrą, Zofią Rucińską, kobietą wątłą i nerwową, jakby utkaną z samych włókien a potrzebującą, jak roślina, oparcia, ażeby je opleść w nierozwikłane zwoje. Malczewski

leczył ją, jak wiadomo, hypnotyzmem. Wobec młodej kobiety, powierzającej się magnetyzerowi z nieograniczoną ufnością i wobec względności męża, posuniętej aż do ostatnich granic, wywiązał się niebawem najściślejszy stosunek, który nielitościwie szarpnął sławę poety i zamykał przed nimi, drzwi „uczciwych“ domów.

Opowiadano sobie, że gdziekolwiek pani Rucińska wyjeżdżała z domu, Malczewski musiał jej towarzyszyć na siedzeniu, a męża z przyborami na wypadek ataku wsadzano na kozioł... Haniebny ten w oczach świata stosunek z matką kilkorga dzieci i żoną przyjaciela spadł na serce poety jak roztopiony ołów. A kobieta, dla której wszystko poświęcił, nie była jego aniołem pocieszycielem, który rzuca wonne kwiaty na ciernistą drogę życia i dźwiękiem głosu burze uśmierza, ale była mu kulą u nogi, utrapieniem, męczarnią przymusu i torturą sumienia... Na ostatek zapukała do drzwi jego — bieda. Kilka biletów i kart nieopłaconego najmu, obok spisu ruchomości zlicytowanego poety, pozwalają się domyśleć smutnej walki z niedostatkiem, tym natrętem, który włazi oknami, kominem, szparami, a gdy się go dziś pozbędziesz ofiarą niejednej drogiej pamiątki, jutro znowu szturmuje. W życiu gonił poeta za miłością, za szczęściem, a wszystko omijało go. Na co rachował, zawiodło go: głośne imię, wzajemność w miłości, stanowisko w kraju: jeden tylko niedostatek, wierny stróż domu odprowadził go do grobu — bez nazwiska...

Smutne te koleje życia Malczewskiego tłomaczą nam ponure tło i zasadniczy ton jego utworu. Inaczej nie możnaby odcyfrować tych hieroglifów smutku, jakiemi poorał poeta swoją powieść stepową, ani przeniknąć kłębów mgły i dymu, okrywających pogrzebowym kirem jej atmosferę. Pesymizm twórcy *Maryi* nie należy do wybuchów prometeuszowskich, demonicznych, ani do desperacyi społecznych; rozpacz to więcej osobista, ale tem wierniejsza i prawdziwsza. Osobiste wypadki życia wpłynęły przeważnie na pozostały po nim pomnik, one zawładnęły sercem i wyobraźnią poety, osłabiając działanie na niego prądów duchowych społeczeństwa, one rozparły jego subjektywizm do niezwykłych rozmiarów, aby później rozpocząć z nim tem groźniejsze zapasy, tem mozolniejsze z jego strony obudzić wysiłki, silniejsze rzuty cierpienia i rozpaczy.

Słusznie nazwano *Maryę* pamiętnikiem serca zatrutego rozpaczą; każdy jej obraz, niemal każde pociągnięcie pędzla, maczane w smutku i żałobie, otwiera przepaście syczące wężami Laokoona... Jest coś przerażającego w tym jęku boleści, każącym się domyślać, przez jakie to tortury przechodził poeta, któremu rwało się wszystko, co tylko przedsiębrał, zdradzało— w czem ufność pokładał, truło — co brał na lekarstwo.

Ktoby się podjął analizy tej boleści rozlanej po całym utworze, znalazłby klucz do zrozumienia poety. P. Mazanowski zajął się więcej historyą, biografią i bibliografią Malczewskiego i to nie zawsze z pomyślnym skutkiem, pominął zaś psychologiczną, etyczną i estetyczną stronę utworu, gdzie zaś niewprawną ręką o te struny potrącił, wydały one fałszywe akordy. Oto kilka przykładów. Malczewski ma odzwierciedlać swą głęboką religijnością „usposobienie narodu, którego dziejów cechą *i chlubą* jest duch religijny.“ I miecznika „cechuje *czcigodna* wiara naszych przodków. Podejrzany ten zapał religijności młodego krytyka, posuwa się aż do spaczenia charakterów poematu. Gdy pod koniec powieści zamiast mszczącego się swej krzywdy butnego szlachcica polskiego, widzimy człowieka poddającego się z uległością losowi i zapominającego o swym nieprzyjacielu, prawi nam p. M. o „najszczytniejszej cnocie chrześciańskiej przebaczenia wrogowi,“ zasłaniając się sobie jakby umyślnie psychologiczne trudności uzasadnienia tej zmiany. Winę Wacława i Maryi, że bez pozwolenia ojców zawarli związek małżeński, trudno usprawiedliwić p. M., a Malczewski miał zdaniem jego w *Maryi* potępić związki zawarte z pobudek próżności, potajemnie — *bez obopólnej zgody obu interesowanych rodzin.* Los Maryi, nieszczęście Wacława i miecznika „są wynikiem złamania praw głęboko tkwiących w odwiecznych obyczajach ludzkich.“ Postać wojewody nie może mieć zdaniem p. M. „historycznego znaczenia, ani uchodzić za typ magnata polskiego“ (czy Malczewski musiał koniecznie przedstawiać typy historyczne?); jest to bowiem charakter podstępny i obłudny a w „obłudzie jego jest niesłowiański pierwiastek.“ Ciekawem byłoby wiedzieć, czy obłuda jest pierwiastkiem romańskim, czy może germańskim i dla czego nie jest słowiańskim? Niedojrzałe wyobrażenie p. M. o genezie twórczości poetyckiej witać z następującego zdania: „Potrzeba odświeżenia w umyśle dziejów polskich w celu stworzenia tak trafnego typu dawnego szlachcica, jak miecznik, i podłożenia tak wiernego tła historycznego, jak w *Maryi, potrzeba ćwiczenia się w ojczystej mowie w celu uczynienia sobie z niej narzędzia posłusznego fantazyi i uczuciom* (!) musiała przedewszystkiem skłonić Malczewskiego do rozczytywania się w historykach i poetach. I utwory obcych literatur nie dość było czytać po amatorsku dla przyjemności, *gdy chodziło o zastanowienie się nad prawami artystycznego tworzenia*“ (!). Nie dość wyraźne i po części sprzeczne stanowisko zajmuje krytyk wobec pytania, czy poeta kreśli wiernie szlachtę polską, czy też ją idealizuje. Poemat jego ma być „nawskróś narodowym i szlacheckim,“ tymczasem z rozbioru głównych osób wynika zupełnie coś innego.

Chybionym jest także dowód, że przyroda Ukrainy tak wspaniale oddana w poemacie może uchodzić również za podolską! Dość przypomnieć sobie pierwszy obraz kozaka bujającego po stepie z wiatrem w zawody, ażeby nie umieszczać go na szarem tle Podola. Mógłbym kilkakrotnie powiększyć szereg usterek p. M. — lecz i to wystarczy do ilustracyi ostatniej pracy o Malczewskim. Po oczyszczeniu niektórych śmieci i zebraniu dość rozproszonego materyału przez p. Mazanowskiego wartoby teraz podjąć się wdzięcznego zadania: zdjęcia naukowego profilu *Maryi.*

H. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dwa *prima Aprilis.* — Radosna wieść. — Wspomnienie. — „Temat literacki“ dla malarza. — Fałszywy wstyd. — Wykręty zamiast szczerości. — Sprawozdanie Towarzystwa sztuk pięknych. — Cyfry mówiące przy pomocy p. Ryszkiewicza. — Dzieci artystów „na garnuszku.“ — Niedole dzieci prawych. — Prawo rodziców jako prawo nadużywanej własności. — Kiedy ono ulegnie ograniczeniu. — Leczenie ran ujawnionych w chorym organizmie. — Protest w imieniu „Ukrainy.“ — Rozszerzone granice rozmyślań.

Kupcy w tekscie i ogłoszeniach *Kuryerów* zapewniają, że na 1 kwietnia przygotowali wielką obfitość zwodzących figlów. Moi panowie, chociażby wasza pomysłowość wysiliła wszystkie swe koncepty, nie zdobędzie się na takie *prima Aprilis*, jakie przed 75 laty sprawiła Europie mama Bismark, urodziwszy swego Ottonka a obecnie cesarz niemiecki, ułożywszy go w „stan spoczynku.“ To też dawno już Warszawa nie ucieszyła się żadną niespodzianką tak, jak tem przedzierzgnięciem *Fürsta* na *Herzoga* i *Feldmarschala.* Gazety donoszą, że ten ostatni, wysoki tytuł nie należał się człowiekowi, który wprawdzie nosił zawsze mundur żołnierski i dojechał aż do stopnia generała, ale nie umiałby nawet porządnie wart rozstawić. Ile wszakże język niemiecki, który w tworzeniu wyrazów przypomina kolej żelazną, przyczepiającą potrzebny szereg wagonów do umieszczonej na przedzie lokomotywy, zdołałby przyłączyć zaszczytów do jednego nazwiska; tyle bym ich ofiarował Bismarkowi, ażeby on tylko tym długim pociągiem tytułów odjechał na zawsze do Friedrichsruhe. Niech się nazywa: Fürst-Herzog-Prinz-Erlöser-Heiland-Begründer- aller Zeiten grösster Statsman-Handelsminister-Ministerpresident, Reichskanzler... *a. D.*, ale niech te dwie literki— *a*(usser) *D*(ienst), po naszemu jedna *b*(yły)— nie opuszczą go już nigdy. Człowiek ten bezpośrednio nas nie gniótł, bo pod jego władzą nie żyliśmy, a jednakże wraz z całą Europą po zejściu jego z widowni politycznej uczuliśmy dziwnie błogą rozkosz. Gdyby przez lat 25 grasowała w sąsiedztwie jakaś straszliwa zaraza i gdyby wreszcie telegraf doniósł, że wygasła — prawdopodobnie doznalibyśmy podobnego wrażenia.

Od 20 marca przez kilka dni Warszawa wyglądała tak uśmiechnięta, jak między balem wioślarzów a „prawdziwym panieńskim.“ Szkoda, że p. Witkiewicz i jego współzawnawcy artystyczni wypłaszają ze sztuki „motywy literackie.“ Z talentem namalowana czerwona spódnica Marysi lub zdychający koń są to ładne obrazy, ale po tych spódnicach i koniach warto popatrzeć na „motywy literackie.“ Czyż np. widok nas, czytających telegramy o dymisyi Bismarka nie jest godnym pędzla, a daleko godniejszym, niż... Skublińska, którą p. Piątkowski obiecał namalować, jeżeli będzie miał odpowiednie usposobienie? Kiedy w historyi powtórzyła się sprawa edyktu nantyjskiego, kiedy z Prus wypędzono 25,000 polaków, ludzi niewinnych a często tak nieszczęśliwych, że pograniczne władze ruskie okazywały miłosierdzie tułaczom, powstała w gronie moich przyjaciół myśl nakłonienia którego ze znakomitych malarzów naszych, ażeby tę tragedyę upamiętnił w stosownym obrazie. A któż potężniej mógł ją wyrazić, niż Matejko? Do niego więc zwróciliśmy się z listem, pod którym pierwszy położył swe nazwisko czcigodny, na wszelkie tego rodzaju pobudzenia wrażliwy, sercem dziwnie młody Chałubiński. Nie tak skorzy byli inni a zwłaszcza literaci, którzy w każdą sprawę umieją wpleść swoje osobiste dąsy i małostki. Mimo to list z kilkudziesięcioma podpisami odszedł do Matejki, który prośbie naszej zadość nie uczynił, a nawet na nią nie odpowiedział. Czy go nie ujęła nasza myśl, czy może odstraszyli od niej Stańczycy, w imię lojalizmu austryackiego i trójprzymierza — nie badam; sądzę wszakże znowu dziś, jak wówczas, że nasz „temat literacki“ był jednym z najwspanialszych i najwdzięczniejszych, jakie malarz znaleźć może. Tylko ludzie głębiej w życie wnikający umieją ocenić wagę wypadków współczesnych; większość uczy się ich znaczenia z historyi. Dopiero gdy pewien fakt zatonie w przeszłości jak dąb w wodzie, który zamieni się w niej na twardy i piękny heban, dopiero gdy go badacze wydobędą z głębi i oszacują, ogół nadaje mu wartość. Wierzę też najmocniej, że kiedyś, za lat sto lub dwieście, przyszły Matejko bez żadnej namowy zapłonie do naszego „tematu literackiego“ i przedstawi we wzruszającym obrazie owo wygnanie przez Bismarka z ziemi rodzinnej nieszczęśliwych jej dzieci. Okrutny ten niszczyciel zmartwychwstanie jeszcze w sztuce polskiej, jeżeli ona tylko istnieć będzie. Na dzisiejszą dobę widocznie przypadła nam w udziale tylko nienawiść dla jego tryumfów i radość z jego niepowodzeń. Przez 25 lat truliśmy się pierwszą, teraz rozkoszujemy się drugą.

A rozkoszujemy się przedewszystkiem dzięki *Kuryerowi warszawskiemu*, który

posiada szybko nadsyłane i obszerne telegramy. Zaznaczam tę jego zasługę dlatego, że jest to jedyne pismo obsługujące nas telegrafem po europejsku i że inne nie chcą pogodzić się ani z koniecznością obowiązków i zadań, ani nawet ze zwyczajami prasy wielkoświatowej. Jeszcze depesze, wycinane nożyczkami z gazet berlińskich i wrocławskich, uchodzą za „drutowe;“ jeszcze wiele dzienników naszych dopiero w 24 godziny dowiaduje się o wypadkach ważnych; jeszcze istotny telegram jest dla nich zbytkiem. Jeśli wszakże ubóstwem da się usprawiedliwić niemożność sprowadzenia tych kosztownych doniesień, to doprawdy nie wiadomo, czem wytłomaczyć wszystkie śmieszne i niewłaściwe wykręty dla pokrycia tego ubóstwa. Za granicą przestało już być cnotą a jest najpowszedniejszym zwyczajem przytaczanie źródła, z którego się wiadomość czerpie; u nas niektóre pisma tak się tego wstydzą, jak głodni fanfaroni, którzy wolą ostentacyjnie wykłuwać sobie zęby, niż przyznać się, że nie mają pieniędzy na obiad. W przeszłym tygodniu byliśmy znowu świadkami takiego widoku. *Kuryer warszawski* sprowadził i wydrukował rano w całkowitem brzmieniu oba listy cesarza niemieckiego do Bismarka w sprawie dymisyi. Na pozór cóż było prostszego dla tych, który sobie na taki wydatek pozwolić nie mogli, nad przedrukowanie owych dokumentów z wymienieniem źródła. Tymczasem większość dzienników wieczornych robiła wszelkie możliwe wysiłki, ażeby tego uniknąć: rozwadniano osnowę listów w artykułach, skracano je w treściwych doniesieniach, pocono się i mozolono, aby tylko nie wydrukować tych prostych wyrazów: cesarz niemiecki przesłał do Bismarka według *Kuryera warszawskiego* następujące dwa pisma... I po co te komiczne wykręty? Albożczytelnicy pisma ubogiego nie będą mu stokroć wdzięczniejsi za pośpiech w doniesieniu ważnej wiadomości z cudzej ręki, niż za piskorzowe wykręcanie się z kłopotu i fałszywego wstydu? Gdybym był jednym z tych czytelników, nie przebaczyłbym prenumerowanemu dziennikowi tego — wykłuwania sobie zębów o głodzie...

Pomimo że doroczne zgromadzenie członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przeszło dość spokojnie, zdaje się, że instytucya ta będzie musiała wytrzymać burzę, której ciemno-żółta chmura z błyskawicami przemknęła już po widnokręgu prasy. P. Józef Ryszkiewicz kazał w *Kur. warsz.* przemówić cyfrom ze „Sprawozdania“ za r. 1889. Dochód wynosił rs. 32,875 kop. 19, z czego na obrazy kupione do rozlosowania wydano rs. 12,318. Ponieważ zaś tych obrazów było 101 a bardzo niewielu malarzów sprzedało więcej niż po jednej pracy, na jednego tedy przypada rs. 121 k. 98. Natomiast *ośmiu* urzędników administracyi Towarzystwa pobiera rocznie rs. 3,638 k. 84, czyli po rs. 454 kop. 85½ na głowę. „I słusznie — powiada p. Ryszkiewicz. Bo że administracya zasłużyła na takie wynagrodzenie, dowodem może być staranność jej przy sprzedaży prywatnej; suma bowiem tą drogą sprzedanych obrazów dochodzi... 16 sztuk.“ Rzeczywiście cyfra ta jest fatalną. Wobec niej trudno zaiste mówić o roli pośredniczącej między artystami a publicznością, zwłaszcza że — jak zapewnia p. R. — na wystawie obrazów p. t. „Przegląd pracowni“ w ciągu sześciu tygodni sprzedano 38 obrazów, nie licząc poważnej cyfry szkiców i drobiazgów artystycznych. W odpowiednim stosunku Towarzystwo powinnoby sprzedać około 310 płócien, tymczasem łącznie z zakupionemi do rozlosowania zbyło jedynie 117. „Artyści — pisze p. R. — żyć muszą chlebem powszednim, a nawet tak okazała suma, jak rs. 121 k. 98 rocznie nie jest wystarczającą. Szukać więc muszą innych dróg dla zbytu prac swoich.“ Zamierzają więc podobno opuścić Rzym i wynieść się na górę Świętą w jakiejś wystawie prywatnej. Czy Towarzystwo zachęty—a według p. Ryszkiewicza—zniechęty jest już tak starym worem, że weń świeżego wina wlewać nie warto, czy też możnaby je odnowić? Chociaż należę do „burzycieli“ wolałbym je widzieć zrestaurowane, niż opuszczone, jako rudera. Nie wiem, czy potrzeba jednostronnych, czy wzajemnych ustępstw, dość że instytucya ta nie powinna być uważana za rodzaj Skublińskiej, której artyści oddają swe dzieci „na garnuszek.“

Jedna z czytelniczek *Prawdy*, bez zamiaru osłabienia współczucia, okazywanego obecnie podrzutkom i ofiarom „fabrykantek aniołków,“ pragnie za naszem pośrednictwem rozgrzać litością serca ogółu dla niedoli dzieci, tyranizowanych przez... rodziców. „Znam matkę — pisze korespondentka — która w przystępie wściekłości zębami gryzła swą córkę. Gdzieindziej znowu dziewczyna, zbita przez ojca, w kilka tygodni umarła. A ileż ukłuć, ile męczarni cichych mieści w sobie los tyranizowanych dzieci!“ Wypadek przy ulicy Złotej, gdzie dziewczynka, katowana przez matkę, wyskoczyła oknem na bruk, rozdarł przed naszą zasłonę, po za którą rozgrywają się w tajemnicy straszne dramaty. Jeszcze raz sąd tę zasłonę podniesie i jeszcze raz będziemy mieli sposobność opędzać się natrętnym uczuciom i myślom o niedoli dziecięcej. Ale ten korowód widziadeł przesunie się szybko i znowu przed naszemi oczami zawiśnie barwny i blaskami rozświetlony obłok miłości rodzicielskiej. A życie dalej snuć będzie swoją bolesną opowieść i obrzucać ją nieraz śmiechem szyderczym z tej miłości. Bo w człowieku tkwi nietylko to zwierzę, które dzieci swoje kocha, ale i to, które je kąsa, rani, rozdziera i zabija. Korespondentka nasza, jak wielu rozmyślających nad tym smutkiem, stawia pytanie: jeżeli istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami, czemu... Czemu? Z tej prostej przyczyny, że stosunki człowieka do zwierzęcia reguluje ruchoma w swych przepisach policya, a stosunki człowieka do człowieka — nieruchomy w swych artykułach kodeks. Otóż kodeks ten przyznaje rodzicom prawo własności względem dzieci. Zastrzega on pewne wypadki, w których prawo to zawiesza a nawet nadużywanie go karze, ale podnosi rękę uzbrojoną okowami lub mieczem po niewczasie. I tak będzie zawsze, dopóki człowiek pozostanie własnością człowieka. Kiedy woźnica przeciąża konia, może policyant nakazać mu zmniejszenie ciężaru; ale kiedy ten woźnica katuje własne dziecko, odeprze wszelką interwencyę słowami: „jestem jego ojcem“ — chociaż ten ojciec bywa nieraz opojem, gwałtownikiem, furyatem, tyranem, zbrodniarzem. Prawo rodzicielskie jest święte tylko przez miłość matki i ojca dla dzieci; bez tego uczucia i związanych z niem obowiązków staje się ono taką samą niewolą, jak każda inna. A tymczasem uświęcono je bezwzględnie, samą naturalnością stosunku, w oderwaniu od wszelkich ofiar. Nawet poezya, której echa jeszcze nie przebrzmiały, podnosząc barbarzyńską tyranię do ideału, wysławiała zasadę despotyzmu familijnego, według której rodzący może tak dowolnie rozporządzać zrodzonym, jak szewc swoim butem lub rzeźbiarz posągiem. Przeciw nadużyciom tej zasady niema środka w obecnych hamulcach moralno-prawnych; znajdzie się on wtedy jedynie, kiedy każdy osobnik ludzki od pierwszej chwili swego życia stanie się swoją własnością i wzrastać będzie pod opieką i kontrolą społeczeństwa. Jakie instytucye czuwać będą wówczas nad dziećmi prawemi, zaznaczyłem dawniej, mówiąc o t. zw. nieprawych. Zastąpią one wszystkich nietylko brak ojca lub matki, ale także rodziców zwyrodniałych i okrutnych. Jest to wszakże widok przyszłości odległej, bardzo odległej. A dziś? Dziś możemy tylko robić to, co czyni chory skrofuliczny: łagodzić i goić rany tam, gdzie one się otworzą, bez nadziei uzdrowienia organizmu całego. Na jeden, dwa, dziesięć wypadków oddziałamy dobrym wpływem lub karą, a dziewięćdziesiąt pozostanie ukrytych i ani nieuleczonych, ani niepomszczonych.

Daleko łatwiej poradzić sobie z obrażoną „Ukrainą,“ w imieniu której ktoś protestuje przeciwko uwagom moim, a właściwie niemoim o jej „szumie.“ Obrońca tej pańskiej kolonii twierdzi, że „Ukraina“ warszawska stosunkowo bardzo mały przyjmowała udział w zbytkach karnawałowych, że wyłączne wskazywanie jej jest niesłusznem, gdyż co najmniej w równym stopniu hulało „Podole,“ „Wołyń“ itd. Zgoda — *à chaque saint sa chandelle!* Winienem jednak objaśnić, że w towarzyskiem narzeczu Warszawy „Ukraina“ nie jest bynajmniej nazwą ściśle etnograficzną i geograficzną, ale stanowi *nom de guerre* złotopiórego, po francusku świergoczącego stada ptaków przylotnych z prowincyj południowo-zachodnich, tak samo, jak babami podolskiemi nazywane są ciasta, które Podola nigdy nie widziały. Dlaczego we współzawodnictwie kilku dzielnic zwyciężyła „Ukraina“ — śledzić nie będę, przypuszczam tylko, że musiała ona mieć za sobą jakąś przewagę. Jeżeli zaś istotnie pod jej mieniem prowincye sąsiednie zdobywają wawrzyny zapustne, fakt ten rozszerza tylko granice naszego rozmyślania nad właściwem spełnianiem zadań społecznych i pracy w winnicach kresowych.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wyrzuty sumienia publicznego. — Fabrykantki aniołków na prowincyi. — Moralność Częstochowy. — Nędza i plastry kojące. — Trzeźwość fabrykantów zgierskich. — Szczątek anarchizmu szlacheckiego.

Sumienie nasze zbiorowe, trącone brutalnie przez wykryte czyny Skublińskiej, długo chyba nie uspokoi się. Kamyk trafu, spadły na gładką i pleśniejącą już miejscami, niestety, powierzchnię naszej sadzawki społecznej, od punktu swego zanurzenia zatacza coraz szersze i dalsze kręgi współczucia. W Warszawie wziąwszy początek, rozbiegają się one po prowincyi. W garnuszku naszej opinii wre i burzy się woda sądów i środków zaradczych, rozgrzana „świętem oburzeniem“ na „fabrykacyę aniołków...“ Nie chcielibyśmy pocisków rzucać w przestrzeń; przyczynę zjawiska, które tak nas do głębi przejmuje, *Prawda* postarała się już swoim czytelnikom dostatecznie wyjaśnić. Ale to wezbranie filantropijne, pod postacią składek rzęsistych na „żłobki“ i „garnuszki,“ przelewające się po za brzegi *Kuryerów*, ten bezładny i zmieszany gwar ogłaszanych leków i plastrów, dziwnie znamiennym nam się wydaje. To reagowanie uczucia na szorstkie i nieubłagane warunki ustroju społecznego jest jak gdyby jednym wielkim wyrzutem sumienia publicznego. Zręcznie uchyliwszy płaszcza humanitarności, z pod którego wysuwają się drżące palce z obolem ekspiacyi, możnaby pod nim namacać niejedno serce, bijące trwożnem uczuciem przeczuwanego ojcowstwa...

Komuż nie jest znany stan nadmiernej wrażliwości, kiedy, chodząc po bogato podszytym i pełnym kłód próchniejących lesie, raz nadybie żmiję lub węża? Co krok — obawa nadeptania którego z tych wstrętnych płazów. Coś podobnego zdaje się dziać z nadczujnością, której dał dowody „Lekarz“ w *Tygodniu* piotrkowskim. Nie ganimy mu tego, owszem, wdzięczni mu jesteśmy za ciekawe spostrzeżenia i odkrycia, tem bardziej, że poczynił je pod hasłem heroicznego wykrzyku: „nie ukrywajmy ran społecznych!“ Okazuje się więc z jego słów, że i Piotrków, nie tylko War-

szawa z Częstochową (zbrodnia Stysińskiej) ma swoje „fabrykantki aniołków.“ Tylko że to miasto nie posiada robotnic fabrycznych, przeto dostarczycielkami dla nich surowego materyału muszą być służące, padające ofiarą tamecznych samców. Jakiż los czeka te ofiary, które potężny popęd wyzyskał? „Młoda dziewczyna, skoro poczuje się matką, poszukuje sama, lub, co częściej się zdarza, jest odszukaną przez wyżlim węchem obdarzoną faktorkę-żydówkę, która występując w charakterze „dobrodziejki,“ wyłudziwszy od nieszczęśliwej sowite wynagrodzenie, wynajduje dla niej pomieszczenie najczęściej w *suterenie*, u osobników podejrzanej moralności. W takiej to dziurze podziemnej lub pod schodami u stróża (i takie pomieszczenie widział autor), nieszczęśliwa dziewczyna, źle żywiona, przepędza kilka tygodni, w czasie których oszczędzone pieniądze z zasługi i garderoba stają się własnością „opiekunki,“ a gdy nadejdzie krytyczna chwila, starannie unika opiekunka wezwania akuszerki lub lekarza, dla łatwo zrozumianych powodów.“ Skutki takiego postępowania są proste: dziecko przychodzi najczęściej na świat martwe. Jeśli zaś ujrzy światło dzienne, „opiekunka“ zaczyna je pielęgnować po swojemu. Umieściwszy matkę za mamkę, sama karmi noworodka, zgadniecie czem? Papką z chleba rozmoczonego w wodzie! Dziecko też rychło więdnie. Wtedy, przewidując bliski jego zgon, udaje się do lekarza lub ambulatoryum szpitalnego „jedynie po to, by mieć *jakąś receptę*, na zasadzie której w parę dni później *mogłaby otrzymać* od lekarza *kartkę do pochowku*.“ Jest to przezorność wobec wymagań księży, którzy nie pozwalają grzebać ciała bez świadectwa lekarskiego o przyczynie śmierci. Takie „wstrętne indywidua, o zakazanych fizyognomiach, z wynędzniałemi dziećmi na ręku,“ mają być dobrze znane lekarzom piotrkowskim. A jednak noszą one przed sobą wszystkie pozory tarczy legalności, która je broni od dostania się na ławę oskarżonych — utrzymuje „lekarz.“ W jednym tygodniu zdarzyło mu się widzieć aż 3 takie fabrykantki. Jedną z nich odkrył on przy następujących okolicznościach: był wezwany do udzielenia pomocy dla położnicy. „Zaprowadzono mię — powiada — przy pomocy świecy do pełnego zgnilizny lochu, zwanego „mieszkaniem w suterenie.“ W ciasnej tej dziurze, na pęku słomy, wiło się w strasznych bólach od *trzech* dni młode dziewczę, przyjęte na sublokatorkę przez mieszkańców tej nory, inne zaś dziecko, „wzięte na garnuszek,“ by zrobić dla mnie miejsce, wyniesiono za drzwi. W takich to hygienicznych warunkach, stojąc w błocie, nie mając gdzie położyć swego ubrania i nie mając wody do umycia rąk, zmuszony byłem przystąpić do trudnej i męczącej operacyi. Matce ocaliłem życie, dziecię zaś od dwudziestu czterech godzin liczyło się już do grona aniołków. W sąsiedniej izbie, zamieszkałej przez suchotnika, żona jego, „na garnuszku“ także wychowując, przysposabiała już kilkoro kandydatów na „aniołków.“

W tym samym *Tygodniu* piotrkowskim, tylko w jednym z numerów zeszłego miesiąca, niejaki p. Żóraw, z powodu zeszłorocznego procesu, wytoczonego Józefie Stysińskiej o cały szereg dzieciobójstw, popełnianych przez nią systematycznie w Częstochowie, zrobił kilka ciekawych spostrzeżeń co do społeczno - ekonomicznych warunków „świętego grodu,“ sprzyjających istnieniu okrzyczanych „fabrykantek.“ Otóż jakkolwiek Częstochowa przy swojej trzydziestotysięcznej ludności ma tylko „jeden lupanar z 8 pensyonarkami,“ mieści jednak w swych murach od lat kilkunastu dwa pułki strzelców (3,200 żołnierzy), pułk dragonów (1,200) i brygadę straży pogranicznej (przeszło 1,000 osób), razem zatem 5,400 ludzi młodych, zdrowych, mało spracowanych, lecz względnie dobrze odżywianych.

„Ludzie ci — powiada korespondent — żyjąc w celibacie, mają dość czasu i aż nadto dobrych chęci do polowania na cnotę niewieścią. Nie trzeba zapominać, że te 5,400 synów Marsa stanowią prawie piątą część ogólnej ludności Częstochowy. Stanowiliby oni zatem znaczną przewagę liczebną płci męzkiej, gdyby nie ta okoliczność, że liczne fabryki tutejsze (mnożące się jak grzyby po deszczu), zatrudniają przeważnie płeć słabszą, której przedstawicielki napływają z okolicznych, nawet dość odległych wiosek. Tą drogą wyrównywają się liczebnie obie płci, dając Częstochowie, obok stałej ludności, około 10,000 ludzi dojrzałych, niepołączonych prawnymi związkami małżeńskimi, lecz bynajmniej niepozbawionych szczerej chęci zrywania owoców z drzewa zakazanego“ *). Nawet obawy niema, żeby ktoś przypadkiem w tym dziesięciotysięcznym tłumie pozostał bez pary, gdyż w takim razie rokrocznie napływająca tam ciżba stotysięczna pobożnych pątników daje możność wyboru... Że, niestety, powiada korespondent, w tej pobożnej masie, obok głównego celu — modlitwy, uprawia się dodatkowo kult Wenery, jest również znanym tutaj faktem. Nawiasowo dodam, że znam tu dzieci czternastoletnie, które pomiędzy pątnikami utraciły swą niewinność.“ Oto jak wygląda czystość obyczajów świętego grodu, od którego *Przegląd katolicki* uparcie odwraca oczy, zapisując Skublińskie na rachunek postępowców.

Okazuje się więc z przytoczonych faktów, że główną przyczyną rozplenienia się chwastów pośrednictwa po naszych rozpadlinach społecznych jest nędza. Ona też, wbrew płytkim sądom publicystów prowincyonalnych, sprawia, że uwiedzione dziewczęta, porzuciwszy na łaskę „opiekunek“ swe noworodki, same idą na mamki do klasy zamożnej. Rozumowanie więc w rodzaju tego, że matki zamożne „skutkiem zwyrodnienia fizycznego, nie mogące same swych dzieci karmić, są sprawczyniami istnienia „fabrykantek aniołków,“ jest wprost brednią. Wygląda to tak, jak gdyby dające się uwodzić miały już zgóry ułożony plan zostania w przyszłości mamkami. Z wyjątkiem tych, które nędza doprowadziła do ostatecznego spaczenia moralnego, że na mamczeniu opierają karyerę, to większość, jak pod brzemieniem nędzy upadła, tak znów często na jej potężny rozkaz sprzedawać musi inny już i komu innemu organ służący wielkiej sprawie reprodukcyi gatunku. Póki społeczeństwo nie zdobędzie się na inną organizacyę wychowywania dzieci, pasorzyty nieudolnego i ciemnego pośrednictwa „fabrykantek“ lęgnąć się nie przestaną na rozwalinach naszego dawnego życia rodzinnego. Udział jednak filantropii w rodzaju wyklutego już z chaosu naszej opinii „towarzystwa nad ubogiemi matkami i ich dziećmi,“ jako doraźny, łagodzący najostrzejsze bóle, nie byłby u nas zbytecznym. *Dziennik łódzki* i *Tydzień* piotrkowski słusznie nawołują miłosiernych ludzi w tym kierunku, jest to zupełnie w porządku, gdy się przypomni, że te dwa pisma „wyrabiają“ opinię na najbardziej przemysłowem terytoryum kraju, a zatem tam, kędy największe toczą się koła kapitalizmu z wszystkiemi jego następstwami.

Potrąćmy o jedno z nich. W Zgierzu od pewnego czasu szerzy się nędza śród tkaczy, którzy przedtem żyli z dostarczania fabrykantom łódzkim surowego materyału, a obecnie, z powodu zastoju w wielkiej produkcyi, skazani są na bezrobocie przymusowe. Fabrykanci tameczni tknięci wyrzutem sumienia wobec tysięcy rąk wyciągniętych po jałmużnę, zebrali się w magistracie „celem obmyślenia środków zaradczych przeciw nędzy robotników pozostających bez zajęcia.“ Jakiż był wynik? Według sprawozdania z tych obrad, umieszczonego w *Lodzer Tageblatt*, fabrykanci zgierscy przyszli do przekonania, że nędza istnieje wprawdzie, lecz nie z ich winy, bo oni wydalili u siebie tylko 30 robotników, gdy tymczasem całe ich tłumy zgłodniałe stoją przed nimi. Otóż są to pracownicy małych warsztatów, wyrabiający od sztuki dla fabrykantów łódzkich. Wina więc tamtych, nie ich. „Powinniśmy wspierać tylko tych, co na nas samych pracują, co nam samym służą!“ — tak formułuje sens moralny obrad korespondent *Dziennika łódzkiego* ze Zgierza. Ale w dobroci swego serca powątpiewa, „aby te poglądy miały być własnością większości naszych fabrykantów.“ Woli wierzyć w inne pobudki ich wstrzemięźliwości od miłosierdzia — w obawę, żeby udzielone zapomogi nie poszły „na marne,“ nie utonęły w szynkowniach.

*) Albo też, o czem autor zamilcza (o ile to się tyczy robotnic nędznie opłacanych), zmuszonych, często może pomimo chęci, sprzedawać ciało dla uzupełnienia zarobku. *Przyp. autora.*

Biedny ten nasz przemysł krajowy! Z losu mu już wypadło być ciągnionym przez dwa konie, wprzężone do jego wozu z dwóch przeciwległych końców. Podczas gdy szlachetne piotrkowianki („inteligentniejsze,“ jak zapewnia *Dziennik łódzki*) jeszcze przed kilku laty „dały sobie słowo,“ że nie będą nabywały wyrobów zagranicznych, nawet po cenach towarów krajowych i tem samem, zyskując coraz więcej naśladowców w mieście, skutecznie rugują błędną zasadę: „co zagraniczne, to dobre“; niejaki wieśniak w *Gazecie lubelskiej* w swojem i sąsiadów imieniu zapowiada mu swoją niełaskę. A zgadniecie czemu? Pewne kółko kupców lubelskich, zdjęte uczuciem humanitarnem, ze względu na służbę, zgodziło się na wcześniejsze zamykanie sklepów w święta i niedziele, to jest na otwieranie ich o pierwszej po południu, a zamykanie o ósmej wieczorem. Cóż powiecie? „Mości dobrodziejowi“ to się nie podobało, więc krzyknął: „nie pozwalam!“ Przyjechawszy do miasta na jeden dzień, przez oszczędność zwykł on poczynione zakupy zostawiać w tymże sklepie aż do odejścia pociągu np. do Kowla, co się zdarza o 9-ej wieczorem. Radzi więc dla dobra kupców — wypoczynek obsługi sklepowej zbywa lekceważącem skinieniem ręki — aby postanowili inaczej. „Niech panowie kupcy—powiada—znów porozumieją się ze sobą i sklepy zamykają nieco później, gdyż inaczej ja, a zapewne i inni, będący w podobnych warunkach, a tylko w niedziele lub święta przybywający do miast po sprawunki, zmuszeni będziemy przenieść się do żydów.“

Z. Atanazy.

TYMCZASOWY OBRACHUNEK.

II.

Zawiodłem się co do *Głosu*. Sądziłem, że polemika nasza potoczy się drogą odmienną, niż zwykłe obrzucanie się błotem, przekręcanie słów przeciwnika lub uganianie się za drobną ambicyjką. W żaden sposób nie mogłem uwierzyć, aby tutaj chodziło mniej o moje przekonania, niż o zabrukanie osoby, a tembardziej, aby w polowaniu na sprzeczności należało widzieć szczególny manewr polemiczny. Jednakże dzisiaj muszę przyznać słuszność niektórym moim podejrzeniom, gdyż odpowiedź p. S. jest smutnem tego potwierdzeniem. Nie mam zamiaru oświetlać rodowodów naszego sporu, chociażby dało się wiele powiedzieć. Wspomnę tylko z przeszłości szczegół o którym nie było miejsca w poprzednim artykule. W nr. 10 *Głosu* p. S. usiłuje zbić (a raczej osłabić) jeden mój pogląd za pomocą Kautskiego. Znajduje on u niego słowo *nichtig*; tj. żaden, nijaki. Wybiera jednak znaczenie dalsze: *marny* i niem chrzci moje zapatrywanie. Jest to środek istotnie barbarzyński, przypominający wymyślania dzikich australczyków przed rozpoczęciem

bitwy. Często się zdarza, że jedna gromada tak nastraszy wymyślaniem drugą, że ta ostatnia ucieka przed bitwą... Rozpoczęta polemika doprowadziła do *Rachunku* nr. 2. Tę ostatnią napaść, czy odpowiedź (mniejsza o nazwę) chcę poddać bliższej analizie, aby raz wreszcie zobaczono całą czystość sporu i przyjrzano się prowadzeniu. Za sędziów wybieram stałych czytelników *Głosu*.

Przypatrzmy się przedewszystkiem sumienności, z jaką p. S. zwalcza przeciwnika. W nr. 11 *Prawdy* mówię: „Wiele miejsca w tym artykule poświęcono sprawie ustawodawstwa fabrycznego. Ponieważ p. S. przyznaje pewną słuszność moim zapatrywaniom i zgadza się na moje wnioski z pewnemi zastrzeżeniami, tem samem jestem zwolniony od zatrzymywania się nad odpowiedniemi ustępami, lubo tu i owdzie wartoby coś powiedzieć. Sprawa ta jednak dzięki Wilhelmowi II jest na porządku dziennym i sądzę, że będę miał możność odezwania się o niej jeszcze.“ Zwracam się następnie do odparcia „sprzeczności“ i wreszcie mówię: „W obu razach (tj. w zakresie obu sprzeczności) nie mogę, choć umiem, przyznać się do zarzucanego grzechu.“ Zobaczmy, co czyni p. S. „W nr. 10 wykazałem p. Ż. całą niesłuszność podtrzymywanej przezeń z wielką pewnością siebie tezy o koniecznym związku pomiędzy prawodawstwem fabrycznem międz. a międz. regulowaniem produkcyi. Znalazłszy w nr. 11 *Prawdy* wymierzony przeciw mnie artykuł sądziłem, że spotkam dalsze wyjaśnienie kwestyi i usiłowania osłabienia przynajmniej moich argumentów. Tymczasem p. Ż. w obszernym swoim artykule nie powiedział w kwestyi naszego sporu (miałem coś ważniejszego!) *ani jednego słówka*, co mu nie przeszkadza z dobrą miną mówić o odpartej krytyce. W zamian p. Ż. rozpisuje się długo o rozmaitych rzeczach niemających związku z naszą polemiką, jako to o znoszonych przez siebie jajach“ (umiesz być dowcipniejszym od australczyka, panie J. H. Siemieniecki!) itd. Czytelnik łaskaw porównać uważnie oba ustępy. Fortel polemiczny jest tak brzydki, że przykro go poddawać rozbiorowi. Zapytam się tylko o jedno. Dlaczego p. S. każe mi twierdzić o odpartej krytyce i ustawia zdania, jak gdybym mówił, żem odparł już całą krytykę jego? Wiem tylko, że gdyby ktoś uczynił coś podobnego *Głosowi*, wylanoby cały potok oburzenia i być może zajrzanoby w tajemnice małżeńskie przeciwnika (proszę Cię p. J. H. Siemieniecki, nie użyj tego szczegółu za dowód, że podzielam przekonania p. Piltza) *).

Przejdźmy teraz do innej sprawy. Miałem kiedyś opowiadać p. S., że przedstawiciele naszej „haute finance (bezwarunkowo to słowo nie jest moją własnością) w swoich poglądach na przyszłość są społecznikami czystej wody. Dziwi mnie ta opowieść. Kiedyś (w 1888) p. H. Silberstein mówił mi, że pewien finansista a zarazem wydawca nie zgodził się na propozycyę przetłomaczenia jednego dzieła Georgea, ponieważ wywody jego są słabe, i jako dowód przytoczył, że są obalone przez krytyków społeczno-demokratycznych. Znam fakt, gdy inny finansista równie przyznał słuszność wysnuwanej z tej strony krytyce. Wspomniałem o tem na dowód, że płatni rzecznicy interesów mieszczańskich czasami są w niezgodzie z wewnętrznem przekonaniem bronionej grupy. Nie wiem, skąd wzięła się już opowieść p. S., wątpię, czybym kiedykolwiek mówił coś podobnego, nie lubię bowiem stwarzać czegoś z niczego. Zresztą nie zwróciłbym uwagi, gdyby nie to, że jest to wstęp do istotnej perełki polemicznej. Proszę czytelnika wziąć do ręki nr. 12 *Głosu* i postępować razem ze mną. P. S. opowiada o społecznikostwie z „haute finance,“ przytem ktoś może pomyśleć, że mam z nią stosunki. Dalej idzie pytanie: czy *Głos* może współdziałać z „haute finance“ — nie, pokrewieństwo poglądów na przyszłość nie stwarza stronnictwa. Zadanie *Głosu* — walka z burżuazyą; inaczej rzeczy mają stać z mojem „pseudoradykalizmem.“*). *Złudzenia* mają jeden sens: szczepmy kapitalizm, w nim nadzieja lepszej przyszłości! (p. S. grozi mi dowiedzeniem—uprzejmie proszę!). Zasady moje—to „praca organiczna,“ odziana nową sankcyą moralną, bo dawną rozbiła krytyka demokratyczna (zdaje się należałem do pierwszych w kraju, którzy przeciw tej pracy wystąpili!). Co więcej, szanowny krytyk grozi mi, że jestem zwolennikiem *laissez-faire* w różnych sferach. Zestaw to uważnie czytelniku, wspomnij jeszcze przycinki o „służbie u liberalizmu“ (wstępny artykuł nr. 9 *Głosu*), tem marniejsze, że dzięki bezimiennemu wymierzeniu nie pozwalają się komuś bronić, a zrozumiesz — zrozumiesz... Jeżeli to wszystko zrobione jest świadomie, to byłoby tak — braknie mi słów, chyba że roczniki *Głosu* wyręczą w wyszukaniu odpowiedniego określenia. Sądzę że kiedyś od p. Siemienieckiego i od tych, którzy czytali artykuł przed wydrukowaniem i rozumieli odpowiednią insynuacyę, otrzymam zadośćuczynienie — w tym rumieńcu wstydu, który wystąpi na ich twarze, gdy po latach kilku ochłodnąwszy z histeryi przeczytają to miejsce...

Tak to prowadzi się polemikę! A wszakże bynajmniej nie wyławiałem wszystkich dowcipów p. S.! Obrzucenie kogoś błotem, spotwarzenie, poddanie w insynuacyę — wszystko to są tylko fortele polemiczne dla przekonania kogoś o wyższości swoich, niższości cudzych przekonań. Czyż *Głos* sądzi, że tymi środkami zteroryzuje mnie i zmusi do milczenia? Wprawdzie kilkakrotnie podczas swego krótkiego istnienia uciekał się do tej broni. Wybitny przykład przedstawia p. Zakrzewski. Przekonania jego są *identyczne* z przekonaniami pana S. i moja polemika *Kwestya społeczna w Anglii* (*Głos*, 1887) mogłaby być dosłownie zwrócona przeciw temu ostatniemu. A jednakże jakiż poprowadzono atak! I czemuż ten napad, jak dziś się okazuje, przeciw własnym przekonaniom? Ha! niezbadane są sprężyny ludzkich czynów! W wielu razach teroryzowano przeciwników. Dotychczasowe polemiki *Głosu* (odwołuję się do stałych czytelników jego) właśnie polegają na takim fortelu. Dowodź mu coś — obrzuci błotem lub półbłotem, półdowodami. Chciałem wprowadzić polemikę na inne tory i będę do tego dążył; teroru i błota nie zlęknę się, co więcej, tych środków nie użyję. Jeżeli zaś dzisiaj zmuszony byłem zapuścić rękę, niech wina spadnie na przeciwnika, co mnie do tego zniewolił! Niech błoto dalej pada — nie odpowiem na nie. Natomiast zmuszę *Głos* do innego postępowania. Wkrótce zacznę z jego powodu szereg artykułów, a nadto dostarczę mu jeszcze więcej sposobności przyjrzenia się moim zapatrywaniom. Nie odpowiadam na dawne zarzuty, gdyż czytelnik znajdzie odpowiedź w nr. 11 *Prawdy*; to samo czynię względem nowo podniesionych, gdyż odpowiedź narażałaby mnie na nowe manewry australskie p. S. Daję wszakże *najuroczystsze* słowo *Głosowi*, że będę dłużnikiem dobrym i odpowiem na każdy zarzut — być może, wypadnie czasami mu czekać, nie jestem bowiem żadnym współredaktorem. Zresztą jest to rzecz pocieszająca dla p. S. Przyszły artykuł będzie on mógł zacząć: „P. Ż. w obszernym artykule nie powiedział w kwestyi naszego sporu ani słówka, w zamian rozpisuje się o rozmaitych rzeczach.“ Natomiast istnieje jeszcze inna sprawa: „mojej“ nauki. Panu S. wprost nie daje spokoju moje „przysiadywanie fałdów nad nauką.“ Rozumiem — moje *Złudzenia* ofiarowałem tym, co tego czynić nie lubią! Gdybym chciał być dowcipny, mógłbym dowodzić, że p. J. H. Siemieniecki widzi w tem przytyk do siebie, dlatego wspomina o tem z przekąsem. Zresztą jeżeli p. S. kpi z „mojej“ nauki, kpi on przedewszystkiem — z *Głosu*. Jest to dowód jego rozjątrzenia, co nic już nie widzi przed sobą. Na str. 126 w *Głosie*, 1886, czytamy, iż można „w piśmie naszem spotkać nazwiska, o jakie dbać powinna każda redakcya i o pozyskanie których my starać się nie poprzestaniemy.“ Wymieniony jestem i ja: posiadałem wtedy moje obecne przekonania, i tem *Głos* wiedział, i pisałem artykuły „naukowe“ — dalszy wniosek łatwy. W r. 1887 ukazują się moja „Kwestya społeczna w Anglii,“ lecz przedewszystkiem „Czynniki upadku włościaństwa,“ których „Złudzenia demokratyczne“ są poprawną i zwiększoną edycyą. Nie zatrzymuję się jednak na tym roku, gdyż p. S. nie było jeszcze w redakcyi. Weźmy jednakże spis artykułów naukowych z 1888 r. Na 12 pomieszczonych tu prac socyologicznych, moich przypada 8, tj. $66\frac{2}{3}\%$ (oprócz moich kolejka inna prac społecznych: 3, 9, 11, 12). I *Głos* miał odwagę karmić czytelników mojemi „pospiesznemi uogólnieniami,“ moimi „marnymi“ rezultatami... Ach, *Głosie*, jakiż grzech spoczywa na tobie! Z powodu *Złudzeń* (1889) nasze stosunki niemal ustały; a jednakże w tym roku na *dziewięć* artykułów społecznych (kolejka: 2—4, 7—10, 13, 14, w tej liczbie praca historyczna p. Radlińskiego) moich jest jeszcze dwa i jeden z nich wymierzony przeciw programom z dnia na dzień, a raczej z pokolenia na pokolenie! *). Ach. panie J. H.

*) Przytoczyłem jeden wzorek. Oto więcej. W nr. 11 twierdzę: „Sądzę, że prawdopodobnie nie jestem wolny od sprzeczności i błędów. Jedne, zasadnicze, muszą wynikać z publicystycznego trybu pisania, inne—wprost z tego, że w tej lub innej sprawie pod natłokiem nowych faktów muszę zmieniać moje poglądy. Był czas, kiedy w wielu sprawach posiadałem np. przekonania nieco pokrewne p. S. (*Prz. tyg.* 1884—4).“ Zobaczmy jak rzecz przedstawia p. S. „Przechodzimy do sprzeczności p. Ż. Przyznaje on możliwość ich (tylko nie owych dwóch niefortunnie wybranych!) i dla wyjaśnienia powiada, że zmienia swe poglądy pod natłokiem nowych faktów. Słuszna zasada. Dziwnem atoli wydać się musi, że człowiek „uzbrojony całą wiedzą,“ jak skromnie powiada o sobie p. Ż., w trakcie pisania jednego szeregu (?) artykułów, w ciągu jakichś 3 tygodni (skąd to wziąłeś, panie!), zmienia swoje poglądy i sam tego nie spostrzega i nie zawiadamia o tem czytelników.“ Gdzieindziej p. S. „uzupełnia“ mnie: „Uzupełnić musimy opowieść p. Ż. o rozmowie z jednym współredaktorem. W. proponował sformułowanie 6 tez i jednoczesne rozwijanie przez siebie w *Głosie* i przez p. Ż. w *Prawdzie*. P. Ż. na propozycyę tę nie przystał.“ Istotne uzupełnienie polega na zamilczeniu, żem powiedział: „Życzenie to musiałoby pozostać życzeniem, gdyż nie mam prawa nadużywać łamów *Prawdy*.“ Uzupełnienie to a raczej opuszczenie w zestawieniu z całym ustępem, z którego je bierzemy, jest tego rodzaju, że każe domyślać się, iż obawiałem się polemiki *Głosu* z powodu *Złudzeń*. Lichy to fortel polemiczny!

*) P. S. nazywa mnie pseudo-radykalistą. Jest to udatne dość określenie wobec tego, że u nas jest w obiegu terminologia zach. europejska. W Anglii radykaliści są drobnomieszczanami i chłopomanami; gdyby ktoś w ich obecności rzekł o Hyndmanie lub Avelingowej, że to radykaliści, „czysty“ radykał rzekłby: „nie, to pseudo-radykały.“

*) *Szkice ekonomiczno-społeczne.* Umieszczenie tego artykułu, moje artykuły z 1887—8 r., chociażby *Kwestya społ. w Anglii*, *Czynniki upadku włościaństwa*, *Szkice ekon.-społeczne* oraz wyrzekanie się przez *Głos* publicznie pewnych kierunków, pozwoliło mi mniemać, że *Złudzenia dem.* o tyle będą przykre, ile będą drukowane w innem piśmie. Na tydzień przed drukiem uwiadomiłem o tem p. S. Wystąpiłem w pierwszym artykule przeciw „indukcyonistom społecznym.“ Publiczność przyjęła, że mówię do *Głosu*. W rozmowie z p. S. wyraziłem żal z tego niezrozumienia pewnych ustępów, tembardziej, że p. S. do nich się także nie przyznawał. Z tego powodu usunąłem polemikę z dalszych artykułów. Po kilku tygodniach zrozumiałem, że mówię przeciw—*Głosowi*. Rzecz ciekawa, że od tej chwili *Głos* coraz mniej kokietuje z „pseudo-radykalizmem“ i zbliża się ku swoim współbraciom angielskim i nawet niemieckim, co uprawiają równie czasami antisemityzm.

Siemieniecki, jak mało dbałeś o „niebałamucenie“ czytelników *Głosu...* Nie, chyba że czytelnik nie weźmie mi za przesadę, jeśli powiem, że „moja“ nauka stała się marną dopiero od chwili, gdy przestała być 66²/₃-procentową częścią społeczno-naukowego działu w *Głosie!* P. S. kpiąc z „mojej“ nauki, kpi jeszcze z czegoś innego. Nie wydałem żadnej pracy naukowej, w moich naukowych artykułach przedewszystkiem byłem sprawozdawcą, w publicystycznych czerpałem ze źródeł możliwie niepodejrzanych i nigdy moja ręka nie splugawiła się Drumondem. W pracach tych byłem wyznawcą pewnej całej a znanej p. S. szkoły społecznej. Poglądy moje są identyczne z zapatrywaniem tej szkoły i pod mojemi *Złudzeniami* mógłby podpisać się autor *Początków cywilizacyi*, Kautsky, Lafargue. Jeżeli rezultaty mojego „przysiadywania fałdów“ nad nauką są marne, to samo można powiedzieć względem tych badaczy. W tej nienawiści ku rezultatom „mojej“ (wskazałem czyjej) nauki, p. J. H. Siemieniecki odsłania właściwą sobie postać: „indukcyonisty społecznego“ lub, prościej, ludowca. O tem przekonywa sympatya jego dla związków chłopsko-niemieckich (widocznie potępia w tej mierze stanowisko społecznej demokracyi); o tem — jego sympatya dla czynszowników Wilhelma II. Istotnie drogi nasze się rozchodzą, z tem zaś wyjaśnia się położenie. Jak o nietoperza, czy jest ssakiem, lub też ptakiem, tak samo dopytywano się o szatę p. S. Dzisiaj wiemy, co pod nią się ukrywa.

K. R. Żywicki.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Opracowano projekt wzajemnej asekuracyi dla robotników fabrycznych. Zamierzono utworzyć kasy dla robotników i ich rodzin.

— P. gen. Starynkiewicz na życzenie p. oberpolicmajstra przeznacza na przytułki noclegowe place miejskie: za rogatką Jerozolimską i na Pradze.

— W Poznańskiem Towarzystwo czytelni ludowych założyło w r. z. 66 nowych czytelni i rozpowszechniło 21,929 książek. Składek miało 3,764 marek 4 fen. Ogólny dochód wynosił 22,457 m. 12 f., rozchód 15,974 m. 37 fen.

— W Krakowie na budowę domu schronienia dla nauczycielek odbył się koncert wyłącznie z utworów Władysława Żeleńskiego, pod jego dyrekcyą.

— We Lwowie czeladnicy kamieniarscy oświadczyli swemu ochmistrzowi, że zawieszą roboty, jeżeli majstrowie w przeciągu dni czternastu nie polepszą ich warunków. Majstrowie zwołali posiedzenie celem porozumienia się z czeladnikami.

— Stowarzyszenie dziennikarzy i pisarzy w Wiedniu, „Concordia,“ w r. z. wydało na zapomogi dla wdów, sierot, chorych ubogich dziennikarzy i autorów 11,650 zlr. Pensye emerytom stowarzyszenia wypłacane są z osobnego funduszu.

— *Nowości* donoszą, iż ustawa nowej kasy pomocy dla lekarzy została zatwierdzoną.

— W Pradze czeskiej zaszły rozruchy między młodzieżą uniwersytecką, wzburzoną przeciw staroczeskim profesorom.

— We Lwowie otworzono krajowy bazar obuwia.

Szkoły. W celu obznajmienia włościan z hodowlą koni, główny zarząd stadnin rządowych polecił przyjmować do każdej stadniny 5 chłopców, dzieci włościańskich, w wieku lat 15—18, którzy pod kierunkiem weterynarzy uczyć się będą początków weteryi w zakresie kursu, odpowiadającego na stopień felczera weterynaryi, ażeby w razie choroby konia mogli sami zaradzić. Kurs nauk pięcioletni, po ukończeniu którego wydawane będą odpowiednie świadectwa. Nauka ma być bezpłatna, lecz koszty utrzymania uczących się winny ponosić gminy, z których chłopcy pochodzą. Uczniowie będą nosić odzież włościańską.

— *Nowości* donoszą, iż do ministeryum oświaty podano znaczną ilość zdań dyrektorów gimnazyalnych w sprawie gimnastyki w szkołach średnich. Oto streszczenie tych zdań: 1) Proponowane przez ministeryum oświaty cztery typy programu gimnastyki odpowiadałyby celowi, gdyby nie było koniecznem skracać lekcyj innych przedmiotów i zmniejszać czas przeznaczony na pauzy pomiędzy godzinami, co szczególnie szkodliwie odbije się na zdrowiu uczniów. 2) Wykład gimnastyki według nowego programu dla wielu zakładów naukowych jest bardzo trudny z powodu braku odpowiedniego pomieszczenia; lekcye gimnastyki, odbywane w sali sąsiadującej z pokojami szkolnymi, rozrywają uwagę uczniów i utrudniają wykład innych przedmiotów. 3) Ćwiczenia na przyrządach i aparatach wobec znacznej liczby gimnastykujących się mogą spowodować wypadki nieszczęśliwe. Na mocy powyższych motywów dyrektorowie gimnazyów radzą: 1) usunąć z programu gimnastyki ćwiczenia z przyrządami (ćwiczenia na t. zw. „kozłach“ usunięte już są przez ministeryum); 2) przedłużenie rekreacyj z wprowadzeniem do nich zabaw i gier, odbywanych pod kierunkiem uzdolnionego i doświadczonego nauczyciela (system belgijski); 3) przeniesienie ćwiczeń wojskowych (maszerowania, ćwiczenia we froncie itd.) na miesiące letnie, podczas których ćwiczenia te można odbywać na świeżem powietrzu; 4) o ile można, najczęstsze uwzględnianie wycieczek, przechadzek, które najlepiej odpowiadają celom ćwiczenia ciała. Wnioski te złożono komisyi specyalnej, która zajmie się opracowaniem odpowiednich programów, zgodnie z ogólną reformą planu gimnazyalnego.

— Niektórym lepszym uczniom gimnazyów petersburskich zalecono zgromadzić notatki o liczbie godzin, poświęconych życiu domowemu. Notatki te mają posłużyć za materyał dla komisyi zajmującej się reformą wykształcenia gimnazyalnego.

— Ministeryum dóbr państwa zamierza przeznaczyć zapomogę niższej szkole mleczarskiej, która świeżo wkrótce urządzona w majątku ks. Czetwertyńskiej w gub. smoleńskiej.

Wiadomości administracyjne. Departament podatków stałych przy ministeryum skarbu zwrócił się do Towarzystw rolniczych z prośbą o nadesłanie swego zdania, o ile byłoby pożytecznem zaprowadzenie w całem państwie jednostajnej wagi zboża.

— Prawo z d. 3 czerwca 1886 r., regulujące wzajemne stosunki fabrykantów i robotników, ma być jeszcze przed lipcem r. b. zastosowane w gub. warszawskiej i piotrkowskiej. Zamierzonem jest utworzenie dwóch zarządów gubernialnych i jednego miejskiego (dla Warszawy) do spraw fabrycznych. Etat inspekcyi będzie powiększony o pięciu lub siedmiu nowych pomocników inspektorów. (*Warsz. Dniew.*).

— Wszyscy restauratorowie i właściciele handlów win otrzymali polecenie niedopuszczać do swych zakładów uczniów gimnazyów i wszelkich instytucyj naukowych. Wykraczający przeciwko temu przepisowi będą pociągani do odpowiedzialności prawnej. (*Kur. warsz.*).

— W ministeryum sprawiedliwości postanowiono utworzyć dwa departamenty: administracyjny i sądowy.

— Sprawę utworzenia oddzielnego ministeryum rolnictwa oddano do rozstrzygnięcia komitetowi ministrów.

— Zatwierdzono w tych dniach projekt przepisów o pracy małoletnich robotników fabrycznych. Dzieci do lat dwunastu zupełnie nie będą dopuszczane do roboty w fabrykach. Małoletni nie mogą być przyjmowani w fabrykach bez złożenia metryk w kantorze fabryki. Małoletni od 12—15 lat wieku włącznie nie mogą się zajmować pracą dłużej, niż sześć godzin dziennie, oprócz czasu na śniadanie i obiad. Małoletni do 15 lat wieku nie mogą pracować pomiędzy godz. 10 wieczorem a 5 rano, nadto w dnie niedzielne i niektóre święteczne. Nie wolno ich również dopuszczać do fabrykacyi, która może wywrzeć szkodliwy wpływ na zdrowie.

Sprawy kolejowe. W departamencie kolejowym opracowywany jest obecnie regulamin dla służby ruchu, który będzie obowiązywał wszystkie koleje. Zostaną ściśle określone obowiązki służbowe: maszynistów, nadkonduktorów, konduktorów, zawiadowców i ich pomocników, oraz niższej służby drogowej. Jednocześnie wskazane będzie *maximum* godzin służby i wypoczynku. Nadto projektowane są nagrody nadzwyczajne, a niezależne od stałych, dla tych oficyalistów, którzy najgorliwiej w danym okresie czasu będą pełnili swoje obowiązki.

— Pomiędzy zarządem kolei Nadwiślańskiej i Iwangrodzko-Dąbrowskiej toczą się układy co do wprowadzenia latem biletów spacerowych po zniżonej cenie przez Iwangród, Radom, Kielce do Olkusza.

— Według szczegółowego projektu ministeryum skarbu, kupno kolei Libawsko-Romeńskiej nastąpi w r. b.

Wystawy. W Petersburgu otwarto wystawę zabawek dziecinnych, w której wzięli udział przemysłowcy wiejscy z gub. moskiewskiej, tulskiej, niżegrodzkiej, wiackiej, archangielskiej i wielu innych.

— W Petersburgu otwarto wystawę obrazów galeryi zmarłego metropolity Gintowta. Dochód przeznaczono na cel dobroczynny.

— W Kijowie odbędzie się w sierpniu wystawa wełny i owiec.

Komunikacya. Na regulacyę Prypeci pomiędzy Czarnobylem a ujściem użytą będzie w r. b. suma 75,000 rs., Dniestru — 100,000 rs., Wisły od Warszawy do granicy austryackiej — 150,000 rs.

Konkursy. Nauczyciel gimnastyki, p. Olszewski, w pierwszych dniach maja urządza wielki konkurs gimnastyczny w ogrodzie własnym (ul. Kaliksta nr. 2). Całkowity dochód przeznacza na „żłobek“ dla niemowląt.

— D. 10 kwietnia odbędzie się w Nowym-Yorku konkurs telegrafistów obojga płci. Znaczne nagrody wyznaczono dla tych, którzy potrafią w najkrótszym czasie podawać i odbierać depesze. Sędzią będzie Edison.

— Na żądanie wielu osób *Echo muzyczne* przedłuża do 15 kwietnia r. b. termin konkursu na sztukę ludową.

Literatura. W Krakowie ma wychodzić tygodnik p. t. *Figaro.*

— Pp. Camillo Zajcia Teodoroff i Dakusowicz zozpoczęli w Wiedniu wydawnictwo tygodnika p. t. *Süd-slawische Revue.* Zadaniem tego pisma jest zaznajamianie niemców z ruchem politycznym i naukowym chorwatów, serbów i bułgarów.

— Król rumuński, Karol, ofiarował miejscowemu Towarzystwu geograficznemu 12,000 fr. na wydawnictwo poświęcone opisowi Rumunii. Wszyscy członkowie Towarzystwa mają wziąć udział w tej pracy, której koszt obliczono na 50,000.

Zmarli. Dr. Fr. Delitsch, profesor uniwersytetu w Lipsku.

— Piotr Woźniakowski, dyrektor galicyjskich teatrów prowincyonalnych.

Bibliografia. *Pamiętnik fizyograficzny*, tom IX, Warszawa, 1889, zawiera prace: Pietkiewicza, Danielewicza, oraz materyały do meteorologii i hydrografii; Siemiradzkiego, Morozowicza, Kaczmarkiewicza z geologii i chemii; Łapczyńskiego, Błońskiego, Drymmera, Makowieckiego, Lindenfelda, Pietruszyńskiego, Osterloffa, Wałeckiego — z zoologii i botaniki; Dowgirda, Pułaskiego i Nadmorskiego — z antropologii.

— M. Thullie, *Podręcznik teoryi mostów*, zeszyt 2 i 3.

— Dr. H. Dobrzycki, *Rzut oka na naukowo-społeczną działalność prof. T. Chałubińskiego*, Warszawa, str. 25.

— A. Dygas, *Małgorzatka*, powiastka dla ludu, z ilustracyami.

— E. Orzeszkowa, *Chłopski adwokat*, przeróbka z powieści „Niziny,“ dla ludu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Aug. J. w Bidz. Pisma naszego nie czytają warstwy społeczne, którym drogę życia oświecają jedynie promienie wiary, lecz te, którym ją oświecają promienie wiedzy. Nie chodzi nam więc o osłabienie tamtego światła, lecz o wzmocnienie tego.

Wrzosowi. Chcąc ocenić postacie językowe, trzeba przedewszystkiem rozstać się z myślą, ażeby one były dziełem świadomej i logicznej twórczości; często bowiem nie mają żadnej innej zasady, prócz zwyczaju i wygody. W przytoczonych wyrazach rozstrzygały z jednej strony względy wymawiania, z drugiej — odróżniania: *pochodń, zbrodń...* brzmi zbyt twardo; *pieśń*, jako 2 p. l. m., nie odróżnia się od 1 p. l. p.; natomiast *kopalń* jest dźwiękiem łatwym i odmiennym od *kopalni*, jako 2 p. l. p. Wszystko to zaś są — że tak powiemy — twory użytkowe, a nie ściśle logiczne.

Z. Obrazek ten ma kilka szczegółów ładnych, ale całość słaba. Wreszcie nawet wierząc, że często występek jest tylko łupiną nędzy, przestańmy idealizować chłopów, kradnących drzewo w lesie, bo ten sentymentalizm zaczyna już być manią.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Podziękowanie.

Bardzo jestem wdzięczny p. **Julianowi Dreher, optykowi w Warszawie przy ul. Szpitalnej Nr. 6,** za akuratne dobranie okularów, które w noszeniu okazały się praktyczne i wygodne pod każdym względem. **Dr. J. Moreff.**

Dwa razy kupowałem dotychczas binokle u p. **Drehera**, to chyba **dowód**, że bylem z nich **zadowolony.**

Marjan Gawalewicz.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 16 Марта 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**